

I

Nad miastem wstaje zmierzch. Zachód we krwi się utopił.
Pod stopami rozbitych pomników gruz.
Kamienice znane na pamięć. Niebo, pod którymś rósł, -
wierzby zgarbione nad drogą jak smutne pięty.
Wieczór kroplami gwiazd w otwarte oczy bryznął -
tobie, milcząca, uwięzła w mroku ojczyzno,
cierpkie pieniactwo poety!

II

Nad sennym Lublinem noc. Chmury brunatne.
Ptaki potworne wieją ze świstem żelaznych piór.
Ognie migocą w oknach. Śpiewa samotny chór.
Słowa słyszane po stokroć serce zduszone uwodzą,
Ach, serca! Dzwony alarmu na zapomnianych poddaszach.
Kroki, których stąpanie na zawsze w pamięci zatnę.
Cienie głębokie biegną. Każdy za sobą zaprasza.

Kogo pilnujesz, człowieku? Kto jest twój wróg?
Czyje drapieżne ręce grożą orężem?
Zwycięzcą będę w tej walce, choć własnych słów nie zwyciężę.
Przejdę przez wszystkie granice, każdy zdobędę próg, -
Wywyższę serce człowieka nad rozkład straconych ciał -
Wydziedziczony władca
Tej jednej jedynej przełęczu,
Którąś przekroczyć się bał.

Nad wrzawą słów i pułków tupotem głuchym
szeroka i krwawa łuna wyrasta, -
twój granatowy płaszcz unoszą wichru podmuchy,
samotny poręczycielu mieszczańskiej ciszy
złamały się linie domów,
kamienna rewolta miasta, -
której znużony nie słyszysz.
Świerków czubate gromady jak pęki dzid,
rozwiewa świeży wiatr
popiół żałobnych elegii -
spójrz: nad nami zwichrzony świt —
morze bijące o brzegi.

Oto są ręce - młoty w zecerni jak w kuźni,
krew się lepi, nie farba na czarnych literach -
towarzyszu Piłsudski, w trzydzieści lat później
Julian Blachowski zabije Gastona Koehlera.

Wiem: Litwa dzieciństwa jest wonią mirry i nardu,
ojczyzna kwitnie w pałacu białego cieniach,
ule gdzie podziąć się z sercem, gdy czarny wstanie Żyrardów
i barykadą kamienną runie na progu sumienia.

Pomorze wbite włócznią w spienione ciało Bałtyku,
Śląsk buchający ogniem, Borysław naftą chlusta -
łatwo uskrzydlić się dumą, piersi nadrywać od krzyków
i czyjeś święte imię po stokroć ślinić na ustach.

Łatwo zczzerwienić skronie od tętniącego żaru,
gdy miastem marsz uderzy w ułańskie proporce,
a ciężiej przebić się młodym przez słowa: Polska i Naród -
i głowy na barach osadzić jak kosy sztorcem.

Sznurki krzaczastych brwi niech szarym zwiążą się lontem,
iskrą ze źrenic do dynamitu mózgu:
trzydzieści lat temu jak teraz groził artykuł sto piąty,
serce człowieka szło na spotkanie liktorskim różgom.

Za Belwederu oknami wichur nie ucichł,
spadek duchów umarłych siwą głowę obarcza, -
towarzyszu Piłsudski,
w przeddzień polskiej rewolucji
trupy zagasłych dni salutujemy na tarczach.

*

**

Głos:

Ziemia sucha jak popiół otwiera pragnące usta,
drzewa biją skrzydłami przed nocnym lotem,
ocean nieogarnięty idzie na brzegi z łoskotem,
dymią świerkowe lasy, łuna w powietrzu stoi,
wierzącym Bóg się objawia w płonących chrustach
i bije zegar z chrzęstem, jak rycerz w zbroi...

Głos drugi:

Nic mogłam spać tej nocy: twardo na zimnej podłodze;
przez okno wlewał się księżyc pocięty żelazem krat,
w tym świetle siwiznę włosów dostrzegłam po raz pierwszy.
Nic dla mnie drzewa i lasy, nie dla mnie morski wiatr
ani ogniste krzewy kwitnące przy drodze.
Jestem zamurowana, schnąca w akwarium ryba,
w ciemnym, nie moim mieście nie widzę małej córeczki.
Przeptywa zmierzch i na spoconych szybach
opiera cień ciężkich skrzydeł -
nieruchomieją w ciszy zgubie oddane ciała,
ołowianymi krokami powoli idę,
Wlokąc za sobą stopy w niezawiązanych sandałach.

Głos:

Płoną strażnicze ognie, bębnow wojennych warkot,
biją mężowie w tarcze, a tarcze wtórzą im głucho,
ciężą oszczepy dębowe schylonym karkom
i brąz powleka piersi oddane wichru podmuchom;
płakać pobitych w burzy niemęska rzecz,
grozi zatrata wszędzie naszym muskułom i ścięgnom, -
nie sami szliśmy na ziemię.,
za nami stryczek i miecz
i gruzy tysiąca miast w garści popiołu się lęgną.

Głos drugi:

Miasta się zwala i wstana,

zniknie trujący czad,
niewolnik krwawym pługiem pobożowisko przeorze
wiosna okryje gruzy zielonych bluszczów pianą,
na brata brat
skoczy z nożem,
szeregi pójdą na siebie zjeżone szczecina dzid,
obudzi niemowlęta płaczące bębnow wojenny rytm,
olworzy ziemia ramiona poległym armiom,
wieczystej męce człowieka ból mój nie przyda się na nic -
nie zrodzi wybawiciela idących dni
kamienna pustka bez granic.

Głos:

Ramion daremne wysiłki opłacze stypa,
rozpacz uśpionych kości strawi żałobny stos -
widzimy miazgę liści, zielony puch na lipach,
okrągłość puszystych brzoskwiń i srebrne błyski kos;
cieszy nas lurko! wozów i białość końskich pęcin,
dziewcząt pachnące ciała, wróżące rozkosz bogatą -
radością życia i śmierci witamy cię uśmiechnięci,
idąca po nas zatroto.

Nie było mnie przy tobie, gdyś padała w gruzach,
czarnym pociskom wroga na przestrzał otwarta;
noc nad tobą umiera jak ranna meduza,
przed bramą niewidzialna przechadza się warta -
-leżysz, czujna i gniewna, jak wichher wolności,
który przemoc obala i gruzy wymiata,
czuwasz-niepokonana, cmentarz dumnych kości,
honorem uskrzydłone, żywe serce świata.

Śniesz mi się prawie co dzień. Dzień nad Wisłą wstaje,
powierza pierwszy oddech katedralnym dzwonom,
pierwsze kroki donośne -już dzwonią tramwaje,
już oczom od gałęzi wiosennych zielono,
już turkot wczesnych wozów, już hałas wybucha
i miasto południową wypełnia się wrzawą...
Tak słyszę cię i widzę - potem cisza głucha .
I znowu się w gruzy walisz, Warszawo, Warszawo!

Wiatr teraz na ulicach szumi listopadem,
zatacza się, na placach żałośnie i mgliściej,
śpiewa w organach rynien i uwiedłym czadem
snuje się po zaułkach.
W wiatru mrocznym świście
grają flety cmentarne, zawodzą żałobą.
Lecz noc w milczące okna uderza jak dobosz,
szarpie za poły płaszcza, w ulicach się chwieje,
jest jak okręt zbłąkany bez żagli i steru,
aż o świcie raz jeszcze pójdzie przez Aleje
znowu tłuc łbem rozpaczy u bram Belwederu.

A tam mieszczańskie domy ciężki smutek zatrut,
stoją ożałobione w pogrzebowych kirach -
u ich stóp nieruchomych cichy trup teatru
jak ręka barbarzyńcy roztrzaskana lira;
listopadowe żniwo kładzie się na trumnach,
wiatr go z gałęzi zerwał i po ziemi wlecze,
tylko nad pogorzelań niezłomna kolumna
wciąż jeszcze Zygmuntowym osłania się mieczem.

Więc cóż, że w twe ulice triumfalnym marszem
wdarła się pieśń najeźdźcy i serca znieważa...
Oto budzą się groby, kurhany najstarsze
oddychają głęboko, na głuchych cmentarzach
płomień rozdziera ziemię, gniew oczy oślepia.
To na bruk wyrzucono ostatni fortepian*,
to lwom na czoło spada granitowa grzywa,

zemstą dyszą za węglem wieczory i ranki,
z warg twych w grozie zastygłych znowu się podrywa
nigdy niepokonana strofa Warszawianki.

Kto był z tobą, gdyś stała w łunach i pożarach,
gdy grad żelaza walił w drżące serca dzieci?
Jęczy w skrzypie gałęzi męka nasza stara
nieprzebranym głosem powrotnych stuleci;
gniewne zwierzęta sławy na cokołach z armat
raz jeszcze oniemiałe zakrywają paszcze
i noc listopadowa, od popiołów czarna,
spłynęła na twe barki romantycznym płaszczem.

Nigdy się tu najeźdźca nie poczuje w domu,
przy hojnym twoim stole miejsca nie zagrzeje.
Któraś nie odmawiała gościny nikomu,
rzucisz mu prosto w oczy groźne twoje dzieje,
aż upadnie w nim serce i ciągła udręka
żrenice przerażone skieruje na zachód,
aby - nagle zbudzony - wsparłszy się na rękach,
nasłuchiwał sygnału zatury i strachu.

I raz na Starym Mieście Kilińskiego oczy
uderzą go znienacka, wystrzelić nie zdąży
drzewa nadejdą tłumem, gęstwa go otoczy,
o hasło zapytają widma podchorążych,
zarepetować broni mrok mu nie pozwoli,
wiatr jesienny oślepi, ogłuszy, a chociaż
wyrwie się jego dłoniom i tak go na Woli
dopadnie gdzieś za rogiem milczący robociarz.

Wtedy wstaniesz, oparta na królewskich grzywach,
I trupią szminkę gruzów z gniewnej twarzy zetrzesz,
niczym nie przebragana, zawzięta i mściwa,
wielkim słupem jasności pójdziesz przez powietrze,
znowu zbierzesz sztandary, co cię w dal odbiegły,
wzniesiona ponad lądy nieśmiertelną sławą,
przejdiesz przez cmentarzysko potrzaskanej cegły,
która w gruzach dziś leżysz, Warszawo, Warszawo!

Przewalił się nad nami straszliwy kołowrót
ludzi, czynów i zdarzeń, klęski i poświęceń.
Otośmy wyszli żywi.

Daleki nasz powrót

skronie niepocieszone pochyla na ręce.
daremnie martwe oczy chcą miotać pociski,
mowa nasza bezsilna i chód ołowiany
i we mgłach zagubiony listopad paryski
miota nami jak liśćmi nad brzegiem Sekwany.

I uszy mając pełne potępieńczych s warów,
idziemy do kamiennej kolumny Adama.
Znów, jak jemu, zaświecił nam płomień pożaru,
droga nasza nie inna i rozpacz ta sama;
mądrość minionej klęski gryźć nas nie przestaje,
błędy tak dobrze znane i słowa nie pierwsze,
i gniew ponad zdeptanym, wykrwawionym krajem
zamiast gromem uderzyć, przelewa się w wiersze.

Nad ruina miast naszych, nad wsi popieliskiem
jesienne niebo nikłym blaskiem świeci.
Cicha męka bezbronnych, płacz zgłodniałych dzieci,
wszystko to, co nam było najdroższe i bliskie,
wszystko to, co po nocach sen odbiera z powiek
i usta, otworzone do krzyku, oniemia...
Słyszycie - jak w ochrypłej, rozpaczliwej mowie
woła pomocy opuszczona ziemia.

Nigdzie nam się nie ukryć przed straszliwym głosem
nieprzekupnego sumienia i męki.
Dni nad nami jak płaczki idą siwowłose,
parzy nas zimny uścisk napotkanej ręki,
w stolicach świata płaczą się drogi i mylą,
jałowy świat, nie dla nas przychylny i żyzny, -
i rzeka emigracji jest nam jak Babilon*,
unoszący popioły straconej ojczyzny.

Rozwiewa wiatr na placu ciężki płaszcz wędrowny
i gotyckim chimeroom policzki wydyma.
Gwiazdy ponad Paryżem jak iskry od główni,
o zmierzchu szron pod stopa zaskrzypiał - to zima.
Lecz wichur nie ustaje i kiedy wysokie
gzymsy domów i katedr mrok wieczorny stał już,
podrywa się i huczy, zagląda do okien,

on - współnik groźnych myśli, nocny emisariusz.

Tam za nim iść... gdzie droga pod stopy się ściele
dolinami i górą, ścieżką i przełęczą.

Jeszcze zanurzyć dłonie w gorącym popiele,
do tych, którzy nie uszli, do tych, co się dręczą,
odetchnąć ich rozpaczą, ich buntem i trwogą,
wciągnąć w szerokie piersi dym pobojewiska,
policzyć wszystkie krzywdy i śmiertelnym wrogom
raz jeszcze spojrzeć w oczy, ale spojrzeć z bliska!

I przed zmęczonym wzrokiem wstają polne drzewa,
jaskółki wirujące, letnie zmierzchy sine,
świeży dech lekko włosy zwichrzone rozwiewa,
pole podpływa żytem i złotym łubinem,
a wiatr cię, niesie dalej w liści zawieruchę,
siwe gałązki wierzby ku ramionom zniża...

I znowu nasze kroki, kroki nasze głuche.
zbyt głośne w nocnej ciszy na bruku Paryża.

*

Znowu siano zapachnie w młodych snach,
Lublin ocknie się lipcowym srebrnym świtem.
Kiedy białe gołębie wylecą nad dach,
jakbyś wstrząsnął gałęzią jaśminu...
A tam pola dojrzałe, zboża złotolite,
senna cisza kładzie się na naszych krokach.

Ale ty nas, ziemio, nie winuj,
że żałobny niesiemy ci brokat,
że cmentarne przywidziały nam się smutki
pod tą pieśnią, którą głucho
jęczą, huczają gliniane dzwony...

— życie nasze snem krótkim —
mówi głos,
mroczny głos z tamtej strony.

Było kiedyś weselej i gwarniej,
gasił wiatr mgliste świece dymiącym kasztanom,
ciepłem wiało z przedmiejskich piekarni,
zlatywali aniołowie nad ranem,
kładli skrzydła srebrzyste na lubelskich malwach,
wonią bylic i ziół ochraniali od miecza —
tylko tyle — cichy polski Monsalwat*,
śpiwna nuta człowiecza.

Płyną panny wieczorne z ciężkim żniwem w koszach,
światło we włosach im zapala smukłą ręką czyjaś;
jeszcze uśmiech młodego dobosza,
gdy idącym żołnierzom takt do rytmu wybija,
jeszcze dzieci w ogrodzie toczą żwawe kółka,
i z kościoła starego dźwięk zleci, jak jaskółka,
Zdrowaś, zdrowaś, Maryja...

I już się konie, całe w śnieżnej pianie,
pomiędzy sobą gryzą...
Ach, to nie huczy głośny taniec,
to nie słońce oczerwienia horyzont,
zakołowało czarne ptactwo — i południe, jak północ
chwieje się każdy dom, na złej fali wywrotne czółno,
ład na połowy rozpęka,
na kamienie ognisty spada chrzest,
teraz w bezwładnie rozrzuconych rękach
w brwiach ściągniętych milczenia patos...

O, jakżeś piękna jest,

gdy swój sandał przysuwasz,
przyjaciółko nasza,
Thanatos!

Ciemny cmentarz wkołysał w szum liści,
wycia syren nie słyszysz, takeś ciężko się pospał,
ściany domów pokrył trąd i ospa,
twardy zakon ludzkiej nienawiści
w miastach naszych wstał Apokalipsą.

Ale w domu, rodzinnym domu
drzwi tak samo oprawione w skrzyp są.
Spoglądają ciemne twarze glinianych świątków,
ach, ta sama Polska, która była od początku,
ojczyzna poetów, uwodząca i gorzka, jak piołun,
z czołem w błyskawicach,
ze stopami w żuźlach popiołu,
zadumała się, zasmuciła się,
zbladły lica,
gdy jej synów do wspólnego kładą dołu.

Zmierzch ku drzewom, jak archanioł ku Maryjom,
pochylił się wieść zwiastować w ogrodzie —
zaraz dłonie nocy powieki nakryją,
jabłonie zapachną słodziej,
gwiazda spadnie — kwiat uwiedły z listu.

To tylko twój czas odchodzi,
to na ciemne łono cię przyjął
Porfirogeneta** Chrystus.

*

**

I

Tu widać siedem dróg z górskiego szczytu
i ziemia cofa się, garbami płynąc wstecz...
Przechodziły tędy zbrojny szlak Samnitów,
tu afrykański krwawił się pugiń, a
aż wbił się po rękojeść rzymski krótki miecz
i wyciął w skalach
Via Casilina.

Więc po tej drodze znowu trzeba spływać krwią,
się oprzeć Swewom, Gotom i Wandalom.
Nim zachód zejdzie ku ściągniętym brwiom
na potrzaskanych ścian bezwładne cegły,
niechaj napłyną rzeki mętną falą,
by obmyć skronie
żywym i poległym.

Kto się pokotem na tych zboczach kładł,
w historii progu legi protestem w poprzek.
I nieporadne dłonie przechodzących lat
trupa z doliny rzeki nie wyważą. [
Czarnym grabarzom niechęci się oprze
i będzie trwać,
i świecić groźną twarzą.

Bo taka śmierć jest Bogu niedaremna,
więc choć nierychły, nie poda jej w marność.
Wezbrana zemsta z Wisły szła i z Niemna,
by puszcę Teutoburską* rwać, uwięzia w głązach,
i krew wolności siać jak ziarno
na przekór prawom:
ognia i żelaza.

II

Na zawsze ten krajobraz zapamiętał
długie zmagania narodów i armii.
W italskie skały wrósł żołnierski cmentarz
i obcą ziemię bujnym prochem karmi.

Czas na zakręcie dziejów go wyminął,
nim się odrodzi ku idącym bitwom.
Czerwone maki spod Monte Cassino
jeszcze w ojczyźnie na nowo zakwitną.

Pobojowisko stanic w gęstym dymie,
Bóg się wywyższy nad tyranów władza.
Drzemiące pędy wojennych ozimin
cmentarną ziemię na wiosnę rozsadza.

Tu jeszcze krzyże w wędrówce ugrzęzły,
w strzepy porwały się tasiełki frontów,
lecz dłoń je zbierze, pozaciska w węzły
i znów uniesie nad skraj horyzontu.

Bo nie ma w świecie takiej drogi
przez mrok i wicher, i ognia grad,
żeby żołnierskiej bosej nogi
przepadł na marne krwawy ślad...

Bo gdy się glina w burzy pognie,
wicher z niej pozłotę zdarł,
w szarym popiele starych ognisk
tli nieugasty żar.

I ten podziemny żar cmentarzysk,
jak skryty magnetyczny prąd,
na nowo łuną się rozjarzy,
nie wiedzieć jak i skąd.

III

A cmentarz dotąd łbem kamiennym tłucze
w podnóże skały, na którą się darli.
Rzym otwierali okrwawionym kluczem,
myśląc, że drogę do Polski otwarli.

Gdy świat uwierzył w bałwochwalców pychę,
zawarł szlabany, usiadł i nie puścił,
Zaklinowali nam bramę wytrychem
triumfujący ślusarze-oszuści.

Lecz klucz pozostał! Tkwi w żołnierskich dłoniach!
Czeka - na drogach rozstajnych nie zginął -
aż M a t e r n o s t r a, aż M a t e r P o l o n i a
wróci pod Monte Cassino!

I.

Nie panegiryk pośmiertny ani płacz,
świadectwo życiu, co odeszło.

Nie wymieniamy czynów ani zasług,
wystarczy, żeśmy przekazanemu hasłu
poddali nasze serca.
Odtąd tylko wierność
danemu słowu.

Płomień szedł ku cierniom,
by krzak się zajął. I każdy z nas wierzył,
że Bóg ukryty w nim, choć dotąd nie zagadał.
A teraz tylko żałobna parada
tych, co ostatni
z pobitych żołnierzy.

Tylko kamienne krzyże, wylatujące ku niebu,
tylko zdławiony krzyk jeszcze jednego pogrzebu;
jeszcze jedna
zgaszona pochodnia nad konającym obozem,
ta trumna - protest, wyzwanie i pozew
przed Sądem, który wciąż tchórzy,
który się dotąd nie zebrał.

Czarny okręt, co przybił z dalekiej podróży,
strzaskany rudel i maszty, i żebra,
ale dłoń niewidzialna
banderę hisuje* na reję,
ale przy działach tlą się zapalone lonty -
patrzy załoga, czy jeszcze nie dnieje,
czy nie oznajmia się hukiem
przyptyw dziewiąty.

II.

Nie panegiryk pośmiertny ani płacz.
świadectwo życiu, co odeszło.

Kamienny most, za przęsłem przęsło,
ty, wichrze, teraz prosto w oczy patrz,,
wichrze, co takich trumien zatraskujesz wieka,
wiejesz w tłumie, a zwlekasz,
gdy na ciebie czekają,
aż zstąpisz w gromach z Synaju

z testamentem wolnego człowieka.

To nie próchno, które jutro zetleje,
to złożony pod ziemią dynamit.
Trzeci kur triumfalnie zapieje
i odrodzą się dzieje
w nas, przez naszą mękę,
z nami.

Oto ziemia pożarem się pali,
przetrawiona tylu grobów sumieniem.
Idziesz, Cieniu, a za Tobą wszystkie cienie
z pola nie zakończonej jeszcze bitwy.
Gdy tej wiosny w Polsce i w Italii
od krwi czerwieniej
gorące maki rozkwitły.

—

Słowa zeszyły z perskich miniatur
w rytmie siwych arabskich źrebiąt.

I najrzewniej zwierzała się światu,
wiatrom, co ogrody kolebią,
falom — biodrom rzuconym w taniec —
słowikom i różom Gulistanu*.

Gdyby się urodziła w
Szyrazie albo Ispahanie,
nazywano by ją
Miriam Chanum.

Któż by oprócz niej tak potrafił,
chyba tylko ów przyjaciel Hafiz,**
który w łunach i pieśniach zgorzał —
zaplątana bezbronną w koronkach metafor,
a pragnąca, jak jej siostra Sapho
skonać cicho na łożu morza.

Powinna umierać na listkach róż
i żeby grały najczulsze instrumenty,
ogród blisko podchodził z rezedy i mięty,
żeby arabskie źrebięta płakały,
a światło z irańskich zórz
podkładało się pod tęczę jej chwały.

Żeby śmierć była, jak spoczynek po zabawie
na poduszkach z tysiącokich piór pawich
w mozaikowym Chorasanie*** —
żeby zlatywali się poeci księżycowi
i kryształowo-srebrny słowik
z drzew wykwitał odwiecznym pytaniem.

Przy jej łożu klęczący Omar Khayam****
i Hafiz i Dżelaledin Rumi
i słowiczojęzyczny Saadi...

Tyle wieków czekali na nią w raju,
a więc teraz w archanielskich skrzydeł szumie
jakże przyjąć ją byliby radzi.

Niebo spięte jest srebrną księżycą agrałą,
noc tak samo w gwiazdach ciemnooka,
jak jej siostra, najwierniejsza Sapho,
w fiołkowych rozrzucona lokach.

A ty konać samotnie się nie wstydzisz,
choć już kuszą cię bajeczni Sassanidzi *****
lazurową mozaiką, kutą miedzią...

I podźwignąć się z łoża chciała jeszcze,
w obcej ziemi, pod siąpiącym deszczem,
ale Bóg się zbyt pośpieszył z odpowiedzią.

Siadły przy niej ciemnej nocy motyle,
potem róże, żrebięta i słowik,
perskie wiatry gorącą zawieją...

Miriam Chanum
z Lechistanu
co samotnym swym profilem
w polskiej mowie
świecisz jak kameą.

*

**

Nie pasłaś swych stad na górach Galaadu,
nie biegałaś pod namioty Kedaru.
Nie widziano twoich drobnych śladów
Wśród winnic znojnego Engaddi.
Nie witali cię pasterze śniadzi,
kiedyś szła przez Heseboński parów,
Aleś była jako szafran i cynamon
i jak trzcina w rytmie biodr i ramion,
I cieszyła się wołyńska cisza wiejska,
ku słowiańskim unosząc cię pannom,
czarnowłosa przyjaciółko hebrajska,
och, Szulammit, Szulammit,
och Zuzanno!

A przechodziłaś światem, od miłości chora,
snopek mirry pod piersiami niosąc.

I miłości zjednywałaś, smagła mandragora —
brzuch twój z nardu, a uda twe — mosiądz.

Jako sarnie bliźnięta, pasące się pod miastem,
spoglądało młodych piersi dwoje;

wargi twe w pocałunkach — ciężki miodu plaster,
miód i mleko pod językiem twoim.

I palmą izraelską wyrostaś swobodnie,
w owocowe rozdwoiłaś się grona,

I jak palma się gięłaś, gdy krzepki ogrodnik
na pniu smukłym zaplatał ramiona.

A łono twoje było jak wezbrany księżyc,
podcieniony wonnymi fiołkami.

Lecz nie masz cię w Libanie i wróg cię zwyciężył,
och, Szulammit, Szulammit, och, Szulammit!

Płaczcie córki jerozolimskie,
rwijcie szaty nad Sulamitą.
Urąganiem i pośmiewiskiem
jej urodę martwą okryto.
Wyszedł z czeluści piekielnych wojownik zelżywy,
stratował róże Saronu, wyciął oliwy,
nurt Hebronu zmącił krwią,

dym pożaru wzniecił nad miastem,
rzucił ciało panny zabitej, szydząc i drwiąc,
między druty,
między druty kolczaste.

Zaszedł za chmurę księżyc fiołkowego łona,
wyszło źródło miodu i mleka.

Ziemia ogniem przepala bezwładne ramiona,
proch i pleśń na przymkniętych powiekach.

Usta oślepty, ogłuchł wzrok, a to jest
jakby wieża się zwała Dawidowa.

Krew na wargach — nie mirra, popiół — nie aloes,
gniją w piachu najpieściwsze słowa.

I gruzem zasypano sadzawki w Hesebonie,
ukamienowano lilię padolną.

Przebito ostrą włócznią twe usta i dłonie
i obudzić cię młodzieńcom już nie wolno.

Płaczcie córki jerozolimskie,
rzućcie wiatrom krzyk żałobnych ramion.
W ciężkiej glinie, pod czarnym urwiskiem
mirra, szafran, nard i cynamon.
W dzień pogański, w złe, przeklęte rano
rozrzucono bróg zboża, winnicę zdeptano,
porąbano siekierami
cedr, heban i sandał.

Lecz uroda zamordowanej
z przerażonej ziemi wystrzela:
to w wołyńskich dzikich trojandach
ciemna krew,
ciemna krew Izraela.

Śnieżne pola w Massachusetts
przebiega natchniony lis.

Księżyc i wiatr nas urzekł,
księżyc nad nami zwiśł
i zaklina idącą burzę,
i kurzawą gwiaździstych strużek
przysypuje nam każdy zmysł,
i wiemy, że wszystko na nic,
a jednak nie chce nas zwolnić,
a jednak zza siódmych granic
nawołuje, by za nim biec.

Więc spieszmy, wiatrem pijani,
W cech włóczęgów na zawsze wpisani,
wychodzimy z głębokich sztolni
na szalony
nie potrzebny wiec.

I zbieramy się, rajcownicy bladzi,
Uroki na tę noc uradzić,
jaką z ziół uwarzyć dryjakiew...
Macierzanką nam w oczy zawiewa,
na pagórach,, w ciemnych kosodrzewach
prześwituje niejasnym znakiem.

A ty wołasz do wiatrów:
„Zostawcie!
Choć być sam z moim domem i żoną...”
W księżycowym płaczesz się hafcie,
pokonany przez żywoły Endymion**.

I znów lasy okoliczne płonąc,
w smutne oczy
gorzkim czadem dymią.

Odkrzykuje, ci z madryckiej tawerny,
biję pięścią w stół:
„On ma rację!”
Ale świat - Tomasz zły i niewierny -
kładzie palce do krwawiących ran;
sprawdza nasze Krzyżowe Stacje,

bada każdy z żelaznych cierni
męczenników
cierpiących nad stan.

Coraz wyżej urasta luna,
coraz groźniej chmurzy się. trybunał,
zacierają ręce adwokaci,
nad udrękę księżycową, ponad grozę
odrzucono rozpaczliwy pozew,
skarb złożony
niepowrotnie się stracił

A zostało... A co nam zostało?
Gorzkie zioła, starta w dłoniach żałość,
na pustyni słów zatrutych manna;
krew na piasku, gdy bosy wędrowiec
patrzy w przepaść...

A pobici aniołowie
przed skonaniem wołają:
„Hosanna”

*

**

I

Tobie śpiewam, o, Ukraino, ciebie pochwalam
W pieśniach, co szumią urocznie, morskim podobne falom,
nutą stęsknioną, dźwięcznym słowem, wezbranym rytmem.
Jak skrzydła, co trzepocą w nieustającą modlitwę,
oddechy twoich wiatrów smagłe i wonne;
gdy grzmoty huczą nad tobą, to grzmoty tysiąckonne;
Jarzysz się w srebrze gwiazd, jak bizantyński obraz,
gorączką spalasiz wargi i miłość twoja niedobra
uwodzi synów człowieczych w niepokój burzy i w wichry.

Głosy, co wiały nad tobą, jeszcze nam w sercach nie ścichły,
sprzeciw i bunt napotkawszy, walką zwycięską się wzmożyły.
Oto na usta się kładzie pyszny twej mowy złotogłów,
płyną pieśni dźwięczniejsze, niż miedź horacjańska,
opadające rytmiczniej, niż fałdy kute w marmurze,
rozzucasz się cała w tych dźwiękach, chłopska i pańska,
i nie wiesz, stojąc olśniona, czy to słowiki, czy róże.

Ciebie, miodna i mleczna, buraczana i pszenna,
ciebie pochwalam, Ukraino, w męce odwiecznej codzienna,
sama sierota płacząca, dla własnych dzieci macosza,
żołnierska pchana kolbami w dziedzińcu obcych koszar,
tobie poświęcam, od lat wsłuchany w bolesny lament,
ten niespokojny i rytmem krwi wykołyszany heksametr.

Potomek smagłych twych synów, co na szlacheckie Mazowsze
przynieśli oddech stepu i w piachy, ileż jałowsze
od czarnoziem bujnego, krwią się wsączali i kośćmi,
oto się zrywam na głos nieuciszzonej miłości,
Oto powracam pieśnią, trwożny, jak drżący niemowa:
— Ojczyzno moja najpierwsza,
ojczyzno powrotna, bądź zdrowa!

II

Gdy gospodarze słuchają, ćmiąc machorkę, w mrocznych akacjach,
chwilę trwa cisza, nim chór pieśń swoją podjął,
jeszcze dziewczka spóźniona przebiegnie, stepowa Gracja:
czym wtedy jesteś? — Melodią.

Melodia spadnie na serca, iskier nakrzesze,
żrenice rozewrze szerzej, zbudzi zaklęcia stare,
w kuźniach na noże święcone twoje lemiesz —
czym wtedy? — Krwią i pożarem!

Nocne melodie ścichną, krew się ostudzi,
księżyc gardziołka słowików w srebrzyste flety zmieni,
o świetle będziesz zieleńsza od winnej Burgundii,
bardziej łunna od Andegawenii.

A jest jeszcze słońce, stary i krzepki płatnerz,
co czarną rudę ziemi przekuwa w złoto pszenic,
wiatr twój osmala twarz na brąz brunatne
i oczy harde, jak sokół, mają każdy młodzieniec.

I, jakby na przekór stepom, cerkiewny barok
uderza w niebo potężny, jak Magnifikat.
Płynie ku twych przestrzeni błękitno-złotym sztandarom
muzyka rzewna i dzika.

Za cóż cię jeszcze przed całym światem pochwalę,
do jakiej cię porównam błogosławieńskiej ziemi,
gdy słyszę głosy, co się wrywają w twych pieśni interwale
skrzydłami archanielskimi.

Jak Trzej Magowie Święci, Zachód, Wschód i Południe
znoszą węgiel i sól, mangan, żelazo i cynę...
Ach, może przez owe bogactwa właśnie ich dłoniom najtrudniej
zmienić ten świat w Ukrainę!

III

Na wątych kartach, które niewielu przeczyta,
w zdławionych słowach, co hymnem są i modlitwą,
żyje rządna i prawna, zasobna Rzeczpospolita,
ku idącym gotująca się bitwom.

Tam się nowe pieczęcie na wiecznych znowach kładą
i duchy przylatują, aby wiecować u mnie,
Anioł, zelżony przez was, przychodzi, jak ambasador,
posłujący od Boga, więc posłujący najdumniej.

Żem uniósł w chwałę, co u nas było w pogardzie,
i glorię żyjącym w niewoli bez lęku przyznał,
nie masz wśród was nikogo, co by zasłużył bardziej,
by go nazwała ojczyzna.

Rządcy docześni, dawno skazani przez czas,
o sercach, nie przepalonych w ducha komuniiach,
oto w pochwalnych mych słowach
bez was i mimo was
stara odnawia się Unia.

IV

Ojciec mój, gdy go wicher przeznaczenia zaniósł,
w czarnej kozackiej ziemi, na znojnym Kubaniu
spoczął, dług emigrancki spłacając swym prochem.
Tak ja dziś wracam pieśnią ku siwym porohom,
w sęki trumien zbutwiałych strwożony uderzam,
jak gdybym pragnął tęczą nowego przymierza
połączyć dwie ojczyzny, sam na pół rozdarty.

Ale ty, Ukraino, me serdeczne karty,
co chciały być odezwą i uniwersałem,
a ulatują z wiatrem, jak gołębie białe,
jeszcze kiedyś w szczęśliwszych dniach przyszłości twojej
odczytasz, jak się czyta modlitwę przed bojem,
i uznasz za swojego, czy później czy wcześniej,
poetę, co był Lachem, a sławił cię w pieśni.

I już zapada mój kurhan na dno lepkiego łu,
płoną chmury w oddali czarnogrzywe.
Ziemia niebu u kolan: „Hospody, pomyśl!”
I chór niebios odpowiada: „Na pohybel!”

Żelazną uzdą ściągam konia, a koń okryty pianą
powoli czarny wąż okręca się koło pęcin
Płaszczy się burzan strwożony.
krzyż ognisty nad głową przystanął.
i w drzew szumie jęk tatarskich cięciw.

Kwitnie zatruty madrygan, usta mi natarł miodunnik.
Czemuś rozwiąła się z wiatrem, szypszyno moja niedobra?
Z deszczem od wschodu płyną bogowie srebrnostrunni
błyskawicą przewiązani na biodrach.

Więc wrosnę w ziemią na tym granicznym kurhanie,
podwyższę go o garstkę na próchno zetlałych ust.
To co mi w życiu się śniło... bandury strzaskanej granie...
rumak, co jeźdźca bez głowy nad siną Rosią* niósł.

Duch, co ciężkimi stopami klawisze liry wydeptał,
kół osinowy przez pierś, wystygły popiół ogniska.
Wilcy w czaharach - i cała w trwogach i szeptach
podpełza białą mgłą
zdradliwa noc scytyjska.

Tętent wierzchowca. Nad stepem gwiazda kłamliwa.
Czarnym mrokiem do serca. Słoną rosą ku oczom.
Ten wiatr był we mnie i ze mną.
Teraz szyderczo wyzywa,
że wybrał noc, nim dnia białego napoczął.

Madrygan i miodunnik kwitną nad czarnoziemem,
dokoła mgła bezgwiezdna, pustynia nieprzejezdna.
Wąż się okręcił u pęcin, stygną bandury nieme
i niecierpliwa burza odchodzi w mroki bez nas.

I

Mówiłem do was co wieczór. Czerwone światło zapalało się.
Zapalało się uniesienie, gniew, czasem czułość,
Słowa biegły w mrok - iskry rzucane na hazard.
Niekiedy wracały. Wdzięcznością, chropawym słowem
kogoś, kto chętnie chwycił iskrę na pierś,
bo sam się od dawna chciał zająć płomieniem.

Wtedy słowa bywały celne. Z wygodnego schronu
nietrudno brać cel na muszkę i sprawdzać wielokroć,
nim się za spust pociągnie. To nie było trudno,
Trudno było mówić do niemych
Do niemych mówić - sparaliżowanemu.

II

W snach wędrowałem ku wschodowi.
Przeptywałem rzeki, czołgałem się w zaroślach,
Szukałem znajomych śladów na wydeptanych drogach,
Stalowy świt zastawał mnie tam, gdzie jestem:
bredzący w delirium,
nieuleczony z tęsknoty,
wciąż badający horoskopy gwiazd.

Spodziewałem się tamtej burzy. Oczekiwałem jej.
W żyłach wzbierała krew jak w barometrze.
Z roku na rok wiedziałem, co się stanie.
Alem był jak pijany okręt na oceanie,
opluwany fal wzburzonych śliną
do żadnego portu nie zawinął
ani na dno nie poszedł.

Polarna Gwiazda do siebie wabiła go,
gnijąca gęstwa Sargassa* otoczyła go,
przywidywały się wraki innych okrętów;
ulewa konstelacji nie przestawała go smagać,
pleśnią butli omszałych zarosła odwaga,
nie zostało nic,
oprócz żalu i wstrętu.

Lecz to dość, aby wolę obudzić w człowieku,
aby gniew swój na myśl zimną przekuć
i ostrze zwinnego sztyletu zatruć;

aby palec zagiąć pod żebro: - Czy żywa? —
z komedianów trupie maski pozrywać

i rozwalić ściany teatru.

Rozwalić budę zbitą z desek.

Scenę, po której worki wypchane trocinami,
wygrające mieczami z łuczywa,
wygłaszające tyrady, z których nic nie wynika,
dosiadające bachmaty na kółkach,
o konopianych grzywach,
w hełmach,
które nie zdadzą się ani na misę cyrulika.

Zaczerpnąć w płuca tchu, a obali się sama.

Przed nami ściana mroku.

Trzeba wszystkie do niej podejścia z ruin oczyścić,
aby nie przeszkadzały jutrzejszemu szturmowi.
Trzeba odpędzić tłumy krzykliwych ciurów:
wrzeszczą i wygrają,
a pierwsi poddają się panice.

*

III

Nie chcę dłużej mówić na odległość.

Nie chcę krzesła - potrzebne mi siodło i strzemiona.

Pragnę przepłynąć rzekę wybraną,
czołgać się w zaroślach, które mi są przychylne,
i oglądać stalowy świt nie tu, gdzie jestem.

Potrzebna mi inna miara moich słów
niż ta, którą daje huczący linotyp
i pióro krytyka,
poruszające się jak rak do tyłu.

Muszę, sprawdzić raz jeszcze, czy ojczysty wiatr
nie mylił się, gdy brał maskę z mej twarzy,
nie pasującą do waszych karnawałów.

Upokorzony paraliżem, ogłaszam akt rebelii,
Karbonariusz marzenia, konfederat dumy,
któremu obrzydły nocne rodaków rozmowy.

Nie tylko to mi obrzydło. Potomek wyrodny,
nie wyciągnę starej dwururki z lamusa,
gdy hasło poda obcy lub swój w obcej służbie.

Nie zaniesiecie mnie do swego Panteonu.
Chcę zginąć inaczej. Tak, aby mój zgon
wzniecił płacz tysiąca matek nieprzyjacielskich,
by ich sieroctwo tego zgonu było ceną.

Mam dość litości. Wolę nienawiść.
Nie chcę być podziwianym męczennikiem,
który z nałogu krwawi.
Sprzykrzyło mi się mieszkać na cmentarzach
i nie mam powołania na żebraka.

IV

Z cudzoziemskiej korzystając łaski,
mówiłem do was co wieczór,
Wpatrywaliście się w mój głos,
jak w światło migającej latarni.
Ale nic mogłem upewniać was w żadnym z mych przeczuć.
Mogłem tylko podsycać wasz gniew lub niecierpliwość
i oznajmiać,
że tchórze i oszuści pamiętają i o was.

Przebiegłość i nienawiść oto szczęka ośła
na Filistynów*. A jeżeli przy tym
trzeba będzie liszkom podpalić ogony,
i na to się zdobędziemy.

I obudzi się człowiek wolny w zaroślach,
i władzę w członkach odzyska paralityk,
i rozwiązane będą usta niemych.

*

Tym, co wyznają wyłącznie poezję czystą,
Laborantom, alchemikom, jubilerom, awangardzistom,
czytać tych dytyrambów nie radzę.
Bo rozłożyły się wojującym obozem,
krzyczą ze szpalt nieprzystojnie, raz po raz przechodzą w prozę,
choć wiersz ciągle nad nimi ma władzę.

Szorstkie, chropawe, jeżeli potrzeba - chamskie!
To chłopski bimber, nie złociste wino szampańskie,
które lokaje podają sprzedajnym dyplomatom.
A jeśli kogo trzeba twardym słowem namaścić
i strzelić w pysk, i zawołać wciórności! -
to i na to lecę, jak na lato!

Powiecie, gdy słowo zziajane jak żrebiec, i rży, i parska,
u rzecz nie poetycka, lecz dziennikarska,
bo albo bije, albo rozdaje prztyczki...
Tak, to wiersze namiętne są, nieprzejednane,
nie z tych, co wykręcają się sianem
i nakładają na trwożne ręce białe rękawiczki.

A już jeżeli rękawice, owszem, ale bokerskie;
a na robactwo ukrop, nie proszki perskie -
tylko tak wiersze męskim rytmem krzepną.
A któremu opadają ze strachu portki bez szelek,
tego za ozydle, a potem za obertelek,
wykopać z izby i za próg wysiepnąć!

Więc dedykuję moje wiersze tym, co jeszcze
nie chowają się pod parasolami przed deszczem,
lecz gotowi są biec z bagnetem na broni;
tym, co mięśnie mają nie osłabłe
i nie chcą, choć ich kuszą, paktować z diabłem -
tym nie umknę poetyckiej dłoni.

Są i tacy, którzy mnie mają w czulej pamięci.
Towarzysze walki, wam bym chętnie poświęcił
te stowa, pisane krwią, nie atramentem.
Którzy, choć skronie macie oszronione, wciąż jesteście żywi,
wam, zawsze wierni naszej sprawie, zawsze sprawiedliwi,
gotowi podjąć czyny, niegdyś rozpoczęte.

Nigdy nie chciałem świadczyć się wyłącznie dźwięcznym słowem;
ja jestem z tych, co wiersze tylko za połowę
życia biorą, a później skaczą ku dzikich koni grzywom.
Skoro już w wojnie trwamy, to od wiersza wolę

dobrze podsypany prochem pistolet,
a poezja to tylko krzesiwo.

Odcinajmy się od dezerterów i zbiegów,
ramię do ramienia w zwartym szeregu,
przeciw wrogom Pana Boga, więc w imię Boże.
Zanim Antychryst zdoła nasze groby przeorać,
jeżeli klęska, to niechże będzie Cecora,
bo jeśli przyjdzie zginąć, to ma być w honorze!

Słowa żyją. W ich żyłach kipi krew
ku walce, nie ku zabawie ni zalotom.
To rzecz na śmierć i życie. Więc poetycki śpiew
ma być jak krwotok.

Przestraszyłeś się, poeto. Wolisz się kryć.
Nim zacząłeś, podły lęk już zdjął cię...
Nie chcesz wiedzieć, że wiersz twój ma być
ciosem noża po wezbranej aorticie.

Urodziliśmy się w bolesnym krzyku
i tym krzykiem, a nie bezradnym płaczem
sprzeciwiamy się zbrodniom i sfałszowanym kartom.
Nie należeć do sekcji gniewnych sztyletników,
bo inaczej
w naszych czasach żyć nie warto!

Oto konie Apokalipsy w pobliżu już tętnią,
wychylają się ze strutej mgły szydercze pyski szatanów,
zguba nadchodzi - wszystko według planu -
a niebo patrzy na nas gwiazdą beznamiętną.

Jak drżącą ręką trafić na bijące tętno
epoki, jak z huczących nurtów Oceanu
łódź naszą wyprowadzić? Ze spalonych łańców
nie trwoga wstaje; gorzej - rośnie obojętność.

Co dnia wołamy z nadzieją: - Pod Twoją Obronę,
Matko Najświętsza,
do naszych domostw powrócić nam zwól!

Lecz możni świata nadal mają dłonie ubłocone,
nie obchodzi ich rozpacz bezbronnych ni serdeczny ból.
Więc niech wybucha gniewny, nieubłagany sonet
-czternaście wierszy jak czternaście kul!

Ano, cóż, towarzyszu Majakowskij,
teraz wiesz, gdzie był błąd w poetyckiej rachubie...
Miałeś zwierzyć swe śmiertelne troski -
komu? - Lili Brik* czy siostrze Lubie?

Nie udał ci się romans paryski,
emigrantka wracać z tobą do Moskwy nie zechciała;
nie uwierzyła ci we wszystkim?
Przestraszyła się i odkochała?

Jakże miała ci zaufać, skoroś sam nie ufał,
twoja własna wina, że cofnęła się nieufnie...
To dlatego do skroni przyłożona zimna lufa,
cóżeś w chwili ostatniej ujrzał w owej lufie?

Napisałeś: - Rozbiła się miłosna łódka,
wyczerpany życia incydent...
Nie, nieprawda, to nie była miłość ani wódka,
żeś zawołał do śmierci: - Już idę!

Zabrakło tchu, gdy kamienna stopa krtań przygniotła,
gdy otoczono cię żandarmów chórem,
to nie była błyskawica rewolucji,
to była krwawa miotła,
na której wiedźmy leciały na Łysą Górę;
wydawało się - będziesz wolności prorokiem,
a wypełzły z mroków smoki stuokie,
opluły cię, znieważyły, napoiły jadem;
od samego początku skazały na zagładę -
więc nie samobójstwo, po prostu rozwaliłeś drzwi,
aby mylić nadbiegający pościg.

Tak poeta za cenę własnej krwi
wyrwał się z niewoli ku wolności.

Liryczni poeci zawsze wychodzili rewolucji naprzeciw,
rewolucja pożera rodzone dzieci,
a poetów swych wdeptuje w krwawe bagno...
Majakowskij, byłeś rewolucji dźwięcznym dzwonem,
aż pękło serce dzwonu i twe słowa pohańbione
wyrzucono na śmietnik.
Tegoś pragnął?!

Jakże, w Moskwie masz stację metra swego imienia!
Czy śniłeś o tym, gdyś swe wiersze wymieniał
na slogany, na hasła rewolucyjne?
Słyszysz? - wołają: - Lewa, lewa, lewa!

I słucha szary obywatel, i ziewa
z nudów; już mu dawno stęchło twoje imię.

Majakowskij, przekładałem cię niegdyś na polską mowę
z podziwem i miłością,
dziś mi twe wiersze stają w gardle ością,
jak i tobie stanęłyby, gdybyś mógł zmartwychwstać...
Majakowskij, szczerze, nie ku sławie ani ku zabawie,
służyłeś za życia złej sprawie,
teraz już wiesz: To prawda oczywista.

Idą głuche stulecia, znieruchomiałą spoglądają twarzą,
niepotrzebna jest poezja katom i zbrodniarzom,
trwożą się każdej myśli, gdy nazbyt górnio ulata.
Tylko doboszem miałeś być, nic więcej,
chwalcą tych, co obcinają niepokorne ręce
i zamykają czułe serca w zgniłych kazamatach

Jeszcze ci się, los nie pogmatwał,
jeszcze czas był cofnąć się wstecz,
gdyś powiedział:
„W naszym życiu umrzeć sprawa łatwa,
stworzyć życie to trudniejsza rzecz!”
I zbyt późno cię opadła myśl słuszna choć zdrożna,
że w twym kraju można tylko umrzeć -
żyć prawdziwie nie można!

Krwawy sztandar zarazy w samo serce globu się wwiercił,
groby zarosły trawą na zdradzonym okopie,
nad opustoszałymi katedrami coraz to chmurniej.
Obchodzą swe rocznice złodzieje i mordercy...
I słysząc wrzawę w Europie,
I oklaskują ich obżarte durnie.

już się rozjuszył, rozwieliłmożnił, rozchamił
wrzask triumfalny z wszystkich głośników,
już trąb mosiężnych zbrodniczy hymn wybuchnął.
Idą, obwieszeni orderami,
przytupują buciorami w karnym szyku -
dziś zaraza, a jutro próchno.

A jak się to zdarzyło, jak się to zaczęło?
Wystrzały w piwnicach brzmiały głucho
i leciał z nieba rozżarzony popiół...
Wtedy zrodziło się zatrute arcydzieło,
niemieckie piwo, zmieszane z moskiewską siwuchą:
„Dajosz Arszawu, dajosz Jewropu!”

Kur na ilu dachach zatańczył czerwony,
objawiły się wszystkie ukryte demony,
chłop wykopał siekierę Pugaczowa;
za więzienia, za szafoty, za szpicruty
przyszedł czas straszliwej pokuty,
takiej zemsty Trzeci Rzym się dochował.

Ale nie nastąpiło zadośćuczynienie za grzechy,
ale wicher, walący pałace, pozrywa! także ubogie strzechy,
możnych i nędzarzy zarówno zniszczył.
Aż po nadaremnym powstaniu Kronsztadu
wdeptano wolność w błoto i oddano ją katu,
nim zdążyła
wywikłać się z pobojowisk i ze zgliszczy.

Już płomienie na żużle przepalają usta,
krzyk poetki się urwał, gdy głupcy śpiewali chwałę:
- Rewolucjo, dziewczko rozpustna,
na żołdackiej piersi oszalałej!

Tak właśnie. Wiosna w czeremchach i bzach
I dźwięczne echo zbudzoną brzezina.
To właśnie wtedy silna dłonią skinął,
byś się wywyższył nad nędzę i strach
strzaskanej gliny i z żywych zmartwychwstał.

Nad domem stoi cisza uroczysta,
ptak śwista w lesie, odgłos ginie w mchach,
na chmurach, jak na zapowiednich listach,
kładzie się pieczęć światła.

To daleka przystań

rozpala ogień, byś w drodze nie zbłądził.
I żaglem płynie namiot twój z sierści wielbłądziej,
i rozwiązany w biegu sandałem
wchodzisz pewnie na światłość, jak na skałę,
sprawiedliwie stawić się na Sądzie.

*

To dlatego odnowionym klonom
sok twych słów w radosnych kipi żyłach.
I czeremcha się świątecznie wykwieciła,
puka do drzwi młodziutką narzeczoną.

Wzbiera rzeka pod zgrzybiałą łódką,
co przed wiekiem zachwyt twój uniosła
jeszcze widać tamte dłonie na wiosłach,
jeszcze woda na łasze ślad stóp twoich grzeje;
jaskółczycha za jaskółczychą,
nad zalewem prześlizgując się cicho,
znów świadczą:
śmierć nie istnieje!

Nie inaczej ludzkie ręce dobre
będą kłaść się na rozgrzanych kwiatach,
las tak samo jesiennym cynobrem
pysznie zajmie się, a miesięczna poświata
w noc zimową na śniegu zachrząści.

Nigdy nikt nie odejdzie z tego świata,

zawsze z nim nasza męka i szczęście.

*

To się tylko jeden zegar zatrzymał,
by utrwalić tę chwilę i przekazać.
Jakby nagle wśród wiosny spadła zima,
zamroziła prąd na groblach i jazach;
a pod niebem z lanego żelaza
kwiatem czeremch biała zamieć sypie.
Wiejcie, wichry, zaprzęgajcie się do trumny,
kiedy jedzie, zwycięski i dumny,
zmartwychwstanie świętować na stypie.

*

Wszystkim przyszłym zimom, wszystkim wiosnom
z ust do ust podawajcie i głoście
- by do chwili takiej móc dorosnąć
i otworzyć okiennice na oścież,
trzeba żeby męka poza brzeg przelała się,
żeby stopa po tysiąckroć potykała się,
żeby dola sprawiedliwego
szła przez ogień, po grudzie, po śniegu
i przez zbójców osaczona, nie poddała się.

*

Pozostaniesz, wiecznie pozostaniesz
w tym zachodzie, którym rzeka spływa,
w rzeniu koni, w porannym tumanie,
w potarganych o wiośnie burzy grzywach.
Idzie wieść po twojej ziemi sprawiedliwa,
idzie wieść jak wezwanie na bitwę.
I wrastają w triumfalną modlitwę
leśne zioła o świtanie cierpkie
śpiewem świerszczy rozzwonione stepy,
łąki, w gwiazdach brodzące po pas:

„Światy Boże,
światy kripkij,
światy biezsmiertnyj.
pomyśl nas!”

[Fragmenty]

STABAT MATER

Nim zasłona w świątyni się rozdarła,
zanim światłość skrzepła,
jeszcze zdołał z bolesnego gardła
szept wykrztusić:
„Matko, nie płacz!”
A ja znałam takie Golgoty,
gdzie tysiącom matek słonych łez nie stało,
gdzie więziennej klamki zimny dotyk
musiał starczyć za nadzieję całą;
gdzie latami wzbierająca żalność
oniemiała usta, sine z rozpacz;
i z nas każda, trupi palce naznaczył,
żeśmy widmom się stały podobniejsze.

Wtedy dla mnie cały świat się zmniejszył
do tego gmachu o ostatecznych wrotach,
który pleśnią dwóch stuleci ociekł,
gdzie, gdy ledwie siwy ranek załopotał,
co dzień stałam na mrozie i spiekocie;
gdzie nas wyrok okrutny
w jeden łańcuch cierniowy splatał,
pod tą ślepą czerwoną ścianą,
na brukach, którymi przez całe dwa lata
po tysiąckroć
nas kamienowano.

Twój Syn zapowiedział, że jeszcze odwiedzi
ten padół:
„Dnia Trzeciego z martwych wskrzesnę!”

Nie dostały takiej zapowiedzi,
której były ze mną, matki bolesne.
Gdy zatrzasnęła się brama
z rudej cegły wzniesionych kazamat,
to już zimny pot na śmiertelnej chuście.
Nie masz ratunku znikąd,
nie oprzeć się. piekielnikom,
co nadeszli z ognistej czeluści.

A tyś, Panie, całkiem nas opuścił!
Pozwolono ci zdjąć Go z krzyża,
a gdy dzień Zmartwychwstania się zbliżał,
światlisty Anioł szedł przed Tobą.

A my nie wiedziałyśmy nawet, dokąd
ich zabrano, ku jakim Golgotom,
ku jakim grobom!

Nieprzytomna, do nóg padałam kata,
by choć list pozwolili napisać.
I już teraz oszalałej nie rozróżnić
kto zawinił,
że samotna wśród złego świata,
obojętność w skamieniałych rysach
i w tym mieście się czuję jak w próżni.

Tylko jedno... Pamiętam, jak w tumanie:
obiecałam wtedy, przed więzieniem,
naszą wspólną mękę ludziom przekazać,
Ale porwał mnie wieżm upiornych taniec,
otaczają rozstrzelanych cienie,
których pobił mróz i zaraza.

Więc już tylko tej obietnicy dotrzymać,
Tylko nie zawieść ufności i wiary
sponiewieranych, zrozpaczonych matek.
Znów przemija jeszcze jedna srebrna zima,
dymiąc śniegiem, jako stos ofiarny...

A te dymy zebrać
mi przypadło na ostatek.

Bredzi noc, nadnewska nocka biała...
Żeby tylko w środku jej litanii
tamci, w sztywnych czapkach, nie przyszli!
Wszystkie dawne modlitwy zapomniałam,
nawet z dzieciństwa, te od niani;
trzeba będzie
jakąś nową modlitwę, wymyślić.

MODLITWA

Nie chcę się wtrącać do wyroków Bożych,
błagam Cię o pomoc jakże rzadko!
Lecz jeśli można jeszcze trochę pożyć,
to, proszę, uczyn mi wariatką!

Niech sprawi łaska Twoja święta,
abym, nim dusza wyjdzie z ciała,
mogła udawać, że nie pamiętam,
kiedy i czemu zwariowałam.
Bym mogła wytknąć palcem - Dziwak! -
widząc, że jakiś człowiek płacze,
i abym czuła się szczęśliwa
wśród głuptaków i żebraczek.

Gdy krwawa gwiazda w niebie błyska
i wicher powiał czarnym ptactwem,
ten tylko, co niespełna był umysłu,
mógł się uchronić przed wariactwem.
Uratuj mnie przed widmem, z którym
będę musiała iść po dawnych śladach;
nic chce., o Panie, po raz wtóry,
powoli w tamten mrok zapadać.

I

Różga ognista wznosiła się i kładła na łądach,
ktoś czarny niebo rozrywał, w krąg się rozglądał,
widziadła przykucnęły na opuszczonym okopie.
Ziemia była pokryta wrzodami i trądem,
gwiazdozbiory zapadły w zgniłą topiel.

Pieśni kruszały w zębach, za ledwie się zrodziły,
krtanie były pełne słów, a wszystkie nie te...
Chmury jak sine wzdymały się żyły
i mroźny wiatr ciał usta jak sztyletem.

Nie poznawano się wzajem, bo gęby zżarte ospą;
fałszywych proroków unoszono na rąk piszczelach.
Co który chciał się ocknąć, znowu się pospał;
walili się pokotem. Świt nowe groby pobiełał.

Wolni zazdrościli bydłom roboczych jarzem,
oślimi głosami trąbili retorzy wymowni;
święto na Łysej Górze wciąż trwało w pożarze,
gdy pędziło na miotłach sto tysięcy czarownic.

Dokładnie liczyli zarobki. Ludny i gwarny był rynek.
Lecz marsz żałobny odzywał się w każdym śpiewie.
Poeci kręcili korbami katarynek.
Pod latarniami czekały Muzy. Było ich dziewięć.

Tłum wył. Jemu jedynie Muza Dziesiąta -
niech go ukoj, niech zgniecie w czułych uściskach!
Ospale szczury czekały po wszystkich kątach,
wiedziały: ludzkość się kończy -
więc ich godzina jest bliska.

Ten i ów jeszcze próbował przy świetle pochodni
wyświecić z miasta gromady płazów i gadów...
I zagrzmiął głos:
- Skoroście swoich praojców niegodni,
odejdźcie w mrok i przemijajcie bez śladu!

II

Noc za nocą - posępniej i mgliściej.
od zapadłych uroczysk podkradają się cięcie,
wilkołaków zdławiony warkot...
Jeśli sami nie zdołamy się oczyścić,

Ty nam przemyj krótkowzroczne oczy,
Ty nas oczyść
płomieniem i siarką!

Ktoś pod ścianą trwożliwie przebiegał,
cuchnie prochem, tłumy we drzwiach się cisną
i Michała Archistratega
miecz wyrwany z pochew zabłysnął.

Jastrząb krąży i kwili, i woła
i dlatego bym pragnął jeszcze raz się pomodlić,
lecz nie w ciszy opustoszałego kościoła -
pod wichurą, na bojowym siodle.

Kto się w opiekę poda Panu swemu
i całym sercem szczerze ufa Jemu,
tego Pan swym Aniołom poleca.
A was, bałwochwalców, za głupotę i zuchwałość
starozakonnym zwyczajem wykląć by należało
czarnych świecach.

Wiedźcie - nadejdzie od Wschodu bezlitosny Abandon*
na czele hufców Goga i Magoga.
wpędzi na pole krwi, które się zwie Harmagedon
Za dnia nastąpi ciemność, a w nocy - bladeść,
zaraza rozpanoszy się na wszystkich drogach
i przyjdzie grad i deszcz, i głód ku waszym schedom.

Spadnie szarańcza i chrząszcz bez liczby pożre wasze plony-
I będzie szalał wszystek lud jak nawiedzony,
nie widząc, że już wróg stanął w miasta bramach.
A nawet jeśli ockną się co odważniejsze męże,
za późno, by zastawić się sprawnym orężem,
bo duch wasz osłabł i oręż już się złamał.

Iżęście klaskali dłońmi i tupali nogami w uciesze,
gdy ginęły ludy prawowierne, ku każdej waszej strzesze
nadleci, pióra rozpuściwszy, czerwony kogut.
Rozleje się zagłada od morza szerzej,
rozwalili Anioł Zemsty miejskie mury i wieże -
pobite wasze córki na każdym progu.

Niech nadchodzi krwawy Sannacheryb
I babiloński Nabuchodonozor,
niech wypełnia wasze domy hańba, serca - grozą.
Gdzie był rynek bogaty - bezludny i suchy parów;
aż opaszecie się włosiennicami
i ogolicie wasze głowy, i niech je poplami
sytki popici, co spada z pożarów.

Boście synowie zatwardziałego oblicza
i nieposkromionego serca...
Nikczemny rozpanoszył się u was obyczaj,
każdy wasz kapłan - łgarz, prorok - przeniewierca,
tchórzliwe wasze dłonie i czoła wytarte,
nie słuchacie, gdy do was zwraca się mowa Boża,
bo spać aż do południa wolicie w miękkich łóżach,
zamiast na murach zagrożonych trzymać czujną wartę

Kto blisko jest, od miecza padnie,
kto daleki jest, umrze od pomoru

kto się ostatecznie i będzie obleżony, zginie głodem.
Boście zamknęli grzeszne ślepie na wroga zapadnie,
boście uwierzyli w gadkę kłamliwych znachorów
i tańczyliście, nierządnicy, przed oszukiwanym narodem.

Wtargnie zwierzę, które Ezechiei widział nad rzeką Chobar,
podniosą się płyty kamienne na starych grobach,
by miejsce uczynić dla żywych.

Spróbujecie powrócić do opustoszałych świątyń,
lecz drogi nie znajdziecie, bo je wróg poplątał
i tak się spełni gniew Pana sprawiedliwy.

*

Jakże nie ustać, jakże dotrzymać kroku
latom, co oszalały, szalejem zatrute?
Biegną tłumy śladami fałszywych proroków,
wrzaskliwe trąby także na fałszywą nutę
wygrywają, składając hołd szulerom i oszustom.
Gnieździ się w naszych sercach przeraźliwy smutek,
Czas by do świątyń schronić się,
ale w świątyniach pusto.

Gdy honor się wymienia już nie na złoto - na naftę,
gdy rzymski wikary wita Atyllę bruderszaftem
i klucz świętego Piotra w Tybrze topi,
kogo mają zwoływać rozesłane wici,
gdy wojownicy - ślepi, głusi lub upici,
zapomnieli, którądy droga do Termopil?!

Uczono nas w szkole: Ludwik Dziewiąty,
syn Blanki Kastyljskiej, gdy Zachód się zmącił
złą wieścią, wrogów i własnych rycerzy nie liczył,
nie przestraszył się pogrózek ani czarów...
Rzekł: - Niech przychodzą ci piekielnicy,
Zepchniemy ich z powrotem do Tartaru!

I nasz Henryk Pobożny, syn świętej Jadwigi z Meranu,
Był także jednym z tych Chrystusowych hetmanów,
co przekładali śmierć nad hańbę.
Kogóż dziś, gdy takie słowa dźwięczą w próżni,
Kogo - powtarzam - mógłbym wyróżnić
pochwalnym i czystym dytyrambem?

Idą chóry, Złotemu Cielcowi głoszą chwałę,
płyną obłoki, łączą się w ciężką atomowa chmurę...
Nie żałuję już teraz - kiedyś żałowałem -
że nie mam synów ani córek.

Bo gdy patrzę na dzieci, biegające beztrosko,
nie podejrzewające, co je czeka,
wiem: ja do zguby tego świata nie dożyję,
ale one dożyją...
Wiec co? - mam im układać tragiczny horoskop,
kłaść się cieniem katastrofy na młodych powiekach,
jak Kasandra żałobnie wyjąc?

I kiedy każdy gest małpim grymasem się krzywi,
a groby wielkich przodków depczą karły,
powiadam wam:

- Jeszcze przyjdzie czas, kiedy żywi
zaczną zazdrościć umarłym!

Wy, tłuste szczury z burżuazyjnych ścieków,
pokojowe pudle, paradujące w czerwonych kokardach,
rewolucjoniści od siedmiu boleści!
Deklamujecie ciągle o człowieku,
a obchodzi was tylko waluta - byle twarda -
tchórze bez wstydu i cześci!

Gdzieście byli, coście robili, gdy rozstrzeliwano Gumilowa,
gdy obłąkany Mandelsztam zdychał w syberyjskim łagrze,
gdy Annę Achmatową
umundurowany cham przyrównał do nierządnicy?!
Nawet do podtarcia zadka nie nadają się wasze słowa,
każdy z was zdrajcą, gdy na papierze bazgrze,
morderców dobrowolni wspólnicy!

Co reprezentujecie, geniusze? Talenty do kantów,
po Rzymie odziedziczyliście tylko carpe diem*
i obyczaje późnych wieków sprzedajne,
Akademio szanownych kapitulantów!
W chwili próby pójdziecie z chciwym ryjem
raz jeszcze pożywić się łajnem!

Tyle po was zostanie, co kot parszywy napłakał,
padła, nie nadające się nawet do żeru.
ogniki błędne, którymi diabeł na bagnach kręci...
Kapłani, przed Kremlem leżący na czworakach,
salonowcy, zgrywający się na Robespierrow,
masturbanci, nekrofile, impotenci!

Wam utrzymankom, rogaczom, klępom!
Oblanym zimnym potem, drżącym w niepokoju,
pracowicie rozprowadzającym morowe powietrze...
Którym się słowo postęp rymuje z ustępem,
gżicie się jeszcze, jak muchy, na kupie gnoju,
nim palec Gniewu z oblicza ziemi was zetrze!

Czy Sodoma i Gomora zna sprawiedliwych?
Może, ale niewielu!
Na każdego z nich przypadają tysiące psubratów.
Jeżeli jesteś ostrowidzem, to ich na pamięć znasz...

Kazimierzu Wierzyński,
poeto, nieżyjący przyjacielu,
pozwól powtórzyć słowa,
któreś niegdyś rzucił nikczemnemu światu:

- Pokażcie mi go, niech plunę mu w twarz!

*

Copyright 2012 by [illegible]

Kto - w mętnej wodzie przemądrzały pływak -
brak racji wiecowym pokrywa krzykiem
i wolności powszednio nadużywa,
sam stanie się barbarzyńców niewolnikiem.

Kto buduje własne szczęście i dobrobyt
na krzywdzie innych narodów,
sam dozna klęski i żałoby,
poniżenia, nędzy i głodu.

Kto ze zbrodniarzami w brudny handel się wdaje,
byle pieniądź zabrzęczał w ciężkiej kieszce
bo takie są bezwstydne kupców obyczaje -
sam zostanie sprzedany za bezcen.

Kto obojętnie przechodzi koło szafotu,
na którym niewinnych tracą,
sam do stryczka kolejnego już dojrzał, już gotów,
równy trocinami wypchanym pajacom.

To nie będzie tragedia, lecz zabawne scherzo,
polecicie do ula, jak śnięte pszczoły, posłusznym rojem,
aby poddać się pokornie ludożercom
i stać się ich płodnym pognojem.

Kto złożone solennie przyrzeczenie złamał,
udając, że obietnicy uczciwie dotrzymał,
zgniecie go na miazgę karzącej dłoni zamach
i lęk uderzy martwymi oczyma.

Kto najpierw chwalił, a następnie zdradził
i zdradzonego za garść miedziaków sprzedał,
swym śmiertelnym wrogom nie stanie na zawadzie,
przepadnie mu zbita na cudzej krzywdzie scheda.

Licząc dukaty, splami ręce łajnem,
na weksle spojrzy, jakby siadł w pokrzywach.
Pozna: Sady Boże nigdy nie są sprzedajne,
sprawiedliwa oliwa sama na wierzch wypływa.

Próżno uderzać w triumfalne nuty,
gdy zgnilizna na twarzy, poruszenia trupie...
Będzie ten świat skazany i z wstrętem wypłuty,
na grobie mu napiszą: I zdrajca, i głupi

Już wojsko bazyliszków pleni się na wydmach,
przyjdzie dzień - zguba spadnie na miasta pożarem

i ujrzyście nadejście skrwawionego widma,
jak do okien zagląda: - Mane, Tekel, Fares!

Chrystus jest znowu w Getsemańskim Sadzie,
znowu na Jego ustach Judasz pocałunek kładzie,
znów sąd krzywoprzysiężny zasiada w fałszywej katedrze.
Piłat ręce umyje, zatrząśnie się ziemia,
gąbka w occie zmaczana ostatnią skargę oniemia
i zasłona w świątyni się rozedrze.

Przebito bok Ukrzyżowanego żołdacka włócznią,
teraz zadają pytania niewiernym uczniom: -
- Czy byłeś jednym z tych, co przy Galilejczyku . . .
chadzali, lud podburzając? A ty, Szymonie.
także i ty unieś do góry mężne skronie
I przyznaj się do Nauczyciela w heroicznym okrzyku!

Przestraszył się, pomyślał: - To może być koniec,
co mam się. troszczyć o jakieś kukuryku!
jednak dźwięczały w uszach słowa:
- Bardzo mi przykro,
Ale zaprzecz się mnie, zaprzecz się po trzykroć.
zanim kur w podwórku zapieje!

Pies się zbudził, ziewnął!, stanął na czterech łapach,
obwąchał pogardliwie Szymona,
gdy ten po raz pierwszy się zaparł-
tak było, choć o zacnym kundlu milczą dzieje.

Gdy zaparł się, przerażony, po raz drugi,
zaprzeczając świadectwu oskarżającej go sługi,
poderwały się na poddaszu gołębie,
owładnięte wzburzeniem i wstydem:
uderzyły w alarm niepokalanym skrzydeł,
zagruchały:
- Jak tu wierzyć przeniewierczej gębie?!

Szymonie, tak się stało przed wiekami!
Szymonie, odtąd stałeś się Opoką!
Ale śpiew kura nie zamilkł,
Szymonie, nazbyt nie ufaj swym niepewnym krokom!

Huczy wicher, siecze ogniem, śniegiem i gradami
i przygląda się wpisane w trójkąt czujne Oko.

Dary Trzech Mędrców lekkomyślnie roztrwonione,-
Mane, Tekel, Fares nad Rzymem, jak niegdyś nad Babilonem
i nad Niniwą -
Amelekici w Izraelu się panoszą,
już ich miecze prawowiernych nie płoszą,

gnije na pniu na czas nie zżęte żniwo.

Chwieje się potrójna korona na starczej głowie,
wychylają się z leśnych chaszczy liście i wilkowie,
nadęci nieznośna pychą:
nim Wieczne Miasto zetrze groźny morza przyptływ,
kpi sobie z trąb ochrypłych bezbożne Jerycho.

Pożar nad Winnicą Pańską wystrzela,
jak nad torfowiskiem, dymem zgniłym i gęstym,
znaki na niebie zapowiadają burzę niezwykłą
czerwone race ognia zapładniają żywoty chmur.

Szymonie, zaparłeś się Nauczyciela,
nieszczęsny,
zaparłeś się Go po trzykroć!

I już zapowiedziany pieje kur!

„Oj, maluśki, maluśki, kieby rękawicka...”

W żłobie, miękkim sianem wyścielonym, uśnij,
gdy juhasi śpiewają
i aniołowie grają,
gdy każda siklawica spada w rytmie smyczka.

Na obrazie, na szkłe malowanym,
pochylają się nad Tobą
polskich dzieci rozmodlone liczka.

Narodzonego gdy chwałą
ludzie różnego stanu,
Wiśła łagodną falą
łączy się z nurtem Jordanu —
każda gwiazda przystaje, by się Dzieciątkiem zachwycić.
Tak samo w Betlejem,
jak w podgórskich Wadowicach
Bóg się rodzi, moc truchleje
i — by odnowiły się nam szczęśliwe dzieje —
już na dotknięcie dłoni Piotrowa Stolica.

Z gwiazdobiorami w zmowie
odbiegają swych stad pastuszkowie,
zorza wstaje nad Wiecznym Miastem;
ptactwo, myśląc że już świt, budzi się w gniazdach
i w tej zorzy świetlistym brzasku
upada na kolana główny Pasterz,
a po polsku, po góralsku —
Najstarszy Gazda.

Będzie chadzał, jak dawniej, na urwiste turnie,
by mu tam było i chmurniej i górniej,
wędrowiec, a nie kłusowniczy strzelec —
i będzie zstępować, jak z ognistego Synaju,
ku jeszcze uśpionym krajom,
popędzając pastorałem posłuszne kierdele.

I powinien pamiętać, że choć nad żłobkiem cisza
i tej nocy Betlejem coraz bardziej się wywyższa,
i radują się żywioły wszystkie —
światłość się rozlewa po górach i wodach
lecz, urągając jego lasce, na granicy egipskiej
wciąż czyhają siepacze Heroda.

W Wadowicach, jak w Betlejemie,
gwiazdozbiory spadają na ziemię,

byśmy byli uczciwsi i weselsi
i zrastali się codziennie z nadzieją —

Więc *Gloria in Excelsis, Gloria in Excelsis*
Deo!

I

Te wiersze dedykuję — młodszy krewniak —
moim starszym braciom i siostram.

W tych uczuciach, rodzinnych mocniej się upewniam,
gdy się zbliża ku mnie Mare Nostrum.

Które ugięło się pod białoskrzydłą pławaczką,*
niosącą pasterza Pryjamczyka;
które wtórzyło kartagińskim płaczkom,
gdy dym ze stosu Dydony** w sinym niebie znikął...

Syreno sycylijska, okrutna śpiewaczko,
zaczarowałaś na zawsze wędrownika!
Już wiozą do Ira Flavia***
zwłoki Jakuba, syna Zebedeusza;
już pod Lepanto nas wszystkich zbawia****
flota śródziemnomorska,
napięta w połowie jak kusza...

Wsparty na własnych grzechach i troskach,
tą samą drogą codziennie wyruszam.

II

Gdy przed wiekami ktoś, w skromnej komnacie
siedząc, tak wezwał:
Panny, które na wielkim Parnasie mieszkacie,
a i ippokreńską rosą włosy swe maczacie...— *****
po czym powoli sięgnął do pełnego dzbana,
już była konstytucja Polsce wypisana;
zatrzęsły się w zachwycie lipowe przyciesie
i wiatr po całym powiał Czarnolesie
od Helikonu i łacińskich rzek
kwitnących cząbrów aromatem ostrym...

Tej samej nocy Wisła zmieniła swój bieg
i połączyła się na wieki
z Mare Nostrum.

*

**

To było w sześćset dwudziestym pierwszym
po założeniu Rzymu.

Nad Duero szumiały takie same topole,
ten sam wiatr dął od Moncayo i Urbionu.
Mętny nurt rzeki łagodnym półkolem
otaczał mury z niezdarnie ciosanych gładów.
Szły wozy, ciężko chwiały łbami woły,
monotonnie piastami skrzypiąc.

To wtedy rzymski wódz, Emilian Scypion
rozkazał, uciąć dłonie dwustu zakładnikom,
nim zaczął bić z katapult do obrońców
w sześćset dwudziestym pierwszym
po założeniu Rzymu.

II

Mieli kudłate psy i kij w brunatnej garści.
Okręcali się w płaszcze grubo tkane z wełny.
Gdy księżyc wzgórza oliwą namaścił
i czarnymi widmami wąwozy wypełnił,
szli w noc i w lękiem wypełnioną ciszę.
W bukłaku gorzki płyn z chmielowych szyszek
i w torbie owczy ser...

Palili węgiel
z pniaków skreconych wichrem. W dymnym domu
czekały ich kobiety, zawsze uda tęgie
rozkładać chętne. Nigdy się nikomu
nie chcieli poddać — w zwadzie ani w radzie.
A teraz się nad nimi cień olbrzymi kładzie
orła co zniżył się od skał Urbionu
i siadł
u stóp pretora.

Minęło odtąd dwa tysiące lat.

III

Ten wicher, co usta idącym oniemiał,
wciąż trwa. Wysokie niebo ciągle ma w pogardzie
doczesne sprawy. Sochą poradlona ziemia
cięży ramionom coraz bardziej.
Rzucony z procy gład w przelocie huczy,
cyprysy stoją wśród cmentarzy bratobójczych
i księżyc wzgórza oliwą namaszcza.

Dym jałowcowy z mgłą zmieszany w haszczach,
dym z kainowych ognisk, przeto nie przyjęty.
I minotaury na górskich pastwiskach
i skalnych orłów gardłowe lamenty,
grzmoty zdławione.
Znów krótki miecz błyska.
To na powrozie kat skazańca włóczy
i wbił się w szafot słup urągowiska.

IV

Rozwalone kamienie zbiegają się w ściany,
stara Numancja dźwiga się i grozi.
Przyłóż ucho do ziemi. Słyszysz? — pokonany
bunt zbiera prochy przedwiecznych eksplozji,
minotaur łeb podnosi i w mrok długo węszy.
O zmierzchu nurt Duera staje się zieleńszy,
nim księżyc go podpali.

Po górskich wertepach
zbierają się spiskowcy i Hekate ślepa
wróży z popiołów.
Aż z długiego krzyku
płomień wywikła się rwący wśród drzew
i na pożótkłe kości trafi pieśni lemiesz...

Wtedy znowu ucięte ręce zakładników
zasieją czarną krew
w spieczoną ziemię.

Biskaja, kantabryjska Biskaja,
na burzliwych wrześniach, na zielonych majach,
pod słońcem, pod wróźebnym księżycem...
Tur z twych jaskiń na wolność wyjść nie umiał,*
szumiał z wichrem
i bezradnie przeszedł
święty dąb w płonącej Guernice.

Kto ocean ku twym lasom przysunął,
kto cię podał piorunom i łunom?
Chodzi po twych górach, martwi się i gniewa,
zaciosuje znaki krzyża na drzewach
groźny staruch —
don Miguel de Unamuno.**

Lasy chorągwiane, od spodu rdzawe,
smołą przesycone płótniszcza karawel;
białe wasze koszule, jak piana na morzach...
Biskajo pasterska i żeglarska,
zanim tur jaskiniowy gniew z nozdrzy wyparskał,
już lew kastylijski cię pożarł.

Euzkadi*** na wodach, skałach i polach
zatknął sztandar nad tobą kapitan Loyola****,
mocno-ś w jego wiarą zakuta, jak w kirys.
Uważaj, milicjo Chrystusowa,
by nie wydarł się i was nie stratował
kopytami
mściwy tur z Altamiry.

Gromadą owiec białoruną
na wzdętych żaglach karawele suną,
skarby zamorskich krajów na swe barki biorą.
Egzorcyzmy na nie miota siwy prorok,
lew i tur —
don Miguel de Unamuno

Tura trzeba uchwycić za rogi,
jedną ręką — wiary, drugą — mitologii;
krzyż ma także rozłożone obie ręce.
Lwu — paszczkę rozedrzeć, to tylko potrafi
ktoś, co idzie od baskijskich parafii —
i już dziki miód
we lwiej paszczęce.

Jeśli turowi — tylko widowisko na arenie;
jeśli lew — w cyrkowej klatce odmieniec,

jakże krzyż swój, dumny starcze, wydźwigniesz?
Ryczał tur, lew na niego u jaskini czyhał,
uwodziła ich czarna zazdrość i pycha —
teraz leżą,
gorączkują w malignie.

Tyle wokół szatanów, zaś aniołów garstka,
jak obronisz się, Biskajo, górską i żeglarską,
jaki sztandar wyhisujesz na reję?
Groźny prorok, don Miguel de Unamuno,
dobrze wie:
tylko burzą, tylko łuną,
tylko we krwi jasność zadnieje.

Idzie turniami słońcem przepalony pasterz,
krzemień zamiast chleba, zgniły mech za omastę,
nóż, przeżarty krwawą rdzą, za pazuchą.
Chrzčili go, chrzest wywietrzał po latach,
wyrzuci kamień z procy, zawsze traci w brata —
ten sam krzyk powtarza się głucho.

Stoi Hiszpania w grzechach, w nadaremnych modłach.
Kto dzikiego tura osiodła?
Kto lwu głodnemu uździenicę założył?
Zwozili złoto i srebro z najdalszych Antypodów,
dorobili się zarazy i głodu,
aż ich dobra i skarby
stał gniewny palec Boży.

Widziano:
otwarły się wnętrzości ziemi iberyskiej,
oznajmiały się niebiosy grzmotami i błyskiem,
pioruny same biegły cwałem ku strunom,
gdy na oklep na grzbiecie tura,
z ręką we lwiej grzywie,
prorok, swój sąd sprawujący sprawiedliwie,
jechał krajem —
don Miguel de Unamuno.

*

**

To nieprawda, że zieleń soczysta na Prado,*
to nieprawda, że słońce na niedzielnej corridzie.
Noc nad nami i w nas. Dokąd, nocy, idziesz
poprzez trupy, przez krew, przez szpalery szubienic?
Zgnilizną jest urodą, miłość podłą zdradą,
nie odrobić, nie odnowić, nie zmienić.
Zapredano nas, przepito, wyklęto,
nie pomoże męstwo ani świętość!
I gdy będziesz umierał cały w pocie śliskim,
przywalony jak górą straszną chwilą,
nad wezgłowiem
wilcze uszy, diable pyski
jeszcze raz zwycięsko się pochylą.

Można przedtem poroztrącać zgniłe próchno,
można wykpić króla, że głupi.
Można światem wzgardzić i ogłuchnąć,
w podmańdryckiej tawernie się upić,
nożem dostać pod żebro, wyrwać zęba wisielcowi,
egzorcyzmem rozpacz wysławić,
zwołać wiedźmy, wilkołaki na sabat...
Niech kołują, niechaj wre zabawa!
Zanim trupy do kostnicy się pozwozi,
zanim śpiew koguta noc tę utnie,
uroczyście nadęty kozioł
będzie kazał do piekielnych sekutnic.

Czarna wrona przegina się, wdzięczy,
wypełzają ustrojone ropuchy.
Teraz starcom dziewczątka będziem stręczyć,
z demonami na cmentarzach gzić się.
A z przestrzeni ciągnie groźne wycie,
brzęczą ciężkie szaleńców łańcuchy,
brat rozwala głowę swemu bratu
— zaraz w piachu razem z nim się zapadnie —
połyskują drapieżne zwierząt kielce.
Powiesz światu
jak się żyło ładnie,
kiedy będziesz już trupem,
już wisielcem.

W pustym niebie kłós księżycy obły,
przygarbione bezradnie plecy.
Jużeś wysechł, wypalił się, jużeś ogłuchł
na ten świat,
na pieśń, na śmiech kobiecy.

Na poczarne sny, na ciał zgniliznę.
Nawet ich nie pędzisz egzorcyzmem.
W grząski muł zapadasz się, zapadasz,
ciągną w dół rozpacz, klęska i zdrada,
i na dnie śmiertelnego rowu
obskakuje cię żałobników korowód,
już się śliną ich
pobłogosławion i namaszczone.

A szalony bóg z rozwartą paszczą
miażdży głowy, ręce z stawów wrywa.
A na oczy spada wichrów grzywa
i krzyk straszny z otchłani się niósł
pod tym niebem, które coraz to chmurniej.

Ryk zwierzęcy z krwią rozdartych ust:
— Nie pożeraj nas,
ojcze Saturnie!

Nocy, nocy, przytul i ogarnij!
Nie śpiesz się,
nie śpiesz, mroczny losie...

Mdłe kadzidła urwiskiem pną się
drżą przerażone latarnie.
A-jaja-jaj...!
Jakże śpiew boleśnie się spiętrza,
jakżeś cierpiała,
a-ja-jajaj...
aj, Panienko Najświętsza!

Udręka zmogła Cię nagła,
że pochylasz umęczoną głowę.
Jako my jesteś smagła
i oczy masz migdałowe.
Żalisz się, żalisz
opuszczonymi bezradnie rękoma...
Przebito Ci serce sztyletami siedmioma...
Skarżysz się pieśniom cygańskim
i gromnic migotliwej rzeszy.
Opowiadasz swój ból zbiegowisku
i nie pocieszysz się, nie pocieszysz,
choćby naprzeciw
wyszedł sam kordobański
ksiądz biskup.

Poskarż się nam!
My Twój ból najserdeczniej utulimy.
Za lata upalne,
za wichrem chłuszczące zimy;
za rozpacz Cygana,
że mulicę mu ukradziono;
za Cyganiątko, co płacze od rana,
bo wyszło karmicielskie łono;
za młodego, skopanego przez żandarmów,
za dziewczynę,
od której kochanek uciekł — zaśpiewamy Ci,
zaśpiewamy za darmo
przez zwykłe
cygańskie współczucie.

A-ajaj-ajaj...
Jakaż boleść, coraz to gorętsza...!
Jakżeś cierpiała
a-jaja-jaj...
aj, Panienko Najświętsza!

Jakaż pieśń Twoją rozpacz wypowie,
jakiemu groźnemu Bogu?
Gdy Twój Syn
pod krzyżem się chyli...
Gdy procesja zatrzyma się na rogu,
wypijemy w knajpie za Twe zdrowie
po szklance manzanili...

A-ja-jajaj...
Panienko Najświętsza...

I.

Nie byłem poetą jak ty. Byłem kpiarzem.
Z ludzkich upadków i grzechów stawiałem teatr.
Świątoszkuje, napuszeni głupcy, łgarze
tłusto podrygiwali na miękkich fotelach,
śmiejąc się z samych siebie.

Tyś był smagłym wiatrem
bajecznej Andaluzji, igrcem i rybałem,
zdobyłeś sławę i w namiętym krzyku
minałeś.

Anim ciebie miał za przyjaciela,
lecz śmierć podobna nas złączyła, Fryderyku!

II.

Nad zdrętwiałym Madrytem stała ruda łuna,
patrole o świcie biły kolbami do bram.
Wywleczono i mnie. Cóżem miał odrzec, gdy trybunał
żądał, abym się wyparł własnego uśmiechu?
Abym ośmieszył się sam?

Odparłem: — Panowie, błaznów wykpiwałem,
a teraz mam ze siebie robić błazna?!
Nie przyjmę tych dzwoneczków!

Więc w oczy struchlałe
zajrzała mi zguba żelazna.

Pamiętasz...? — bałeś się... Ja także się bałem.
Ktoś z prowadzonych zerwał kwiatek,
wpiął go do klapy...
Uśmiechnąłem się, blady. Wstyd mi było,
że mogą dojrzeć dreszcz przerażenia. Jak to?
Więc nie potrafię zagrać tej farsy ostatniej?
Mieszczkański pisarz, bawitłumek, aktor...

Aż zwałem się do mogiły bratniej.

III.

Nikt nie wziął mego trupa na ramiona.
Nie uczyniono z niego sztandaru.
Nie zasłużyłem, widać, na żalść elegii...
Czyś inaczej, lepiej, niż ja konał,
że się nikt o moją śmierć nie zatroszczył?

Twoich morderców wytykają palcami,
moi mordercy
przyłączają się do gniewnego chóru.

A przecież i mnie tak samo kat kolbą trącał,
abym spieszniej ustawił się nad rowem,
i tak samo moja krew gorąca
przepoiła ziemię spieczoną.
Twoją śmierć rozniesiono na wszystkich wiatrach,
dla niej cześć i honorowa warta...

Mojej śmierci
nie zauważono!

IV.

Nad cmentarzami zatrute tumany,
nasze głosy dawno przeminęły, lecz nie ucichły.
Znów przyczajone zrywają się wichry,
szybują cienie wszystkich rozstrzelanych;
znów piszą pozew, wystawiają rachunek,
spierają się, czyja krew ma na szali przeważać.

Oprawca nie chce niczego wiedzieć o skazańcach,
nie zagląda im o oczy, nie dostrzega twarzy...
Nie wie, że każdy krzyk urasta w nową łunę,
a każdy trup
jest fundamentem jutrzejszego szańca.

Szatan jest mściwy
i niczego nam dwóm nie wybaczył:
mnie — szyderczego śmiechu, tobie — lirycznej melodii.
Jakże mamy wytłumaczyć żywym,
co się czuje, gdy taki zgon czoło naznaczy...?
Taki wyrok za czyny, nigdy nie popełnione?

Nasze mięśnie rozpadły się,
nasze kości zbutwiały, lecz serce
— nadal oszalałym,
niemilkącym dzwonem.

V.

Fryderyku, poeto, nie mnie równać się z tobą,
ale śmierć nas zrównała, śmierć niesprawiedliwa.
Gdy nas wieziono ku bezimiennym grobom,
wiatr obu opłakiwał w cyprysach i oliwach,
a potem kula z tyłu — i ciemność i cisza...

Kto naprawdę nasze chwile ostatnie usłyszał?
Kto po bratersku naszej męce się użalił?

Nie, krzyk mordowanych wciąż jeszcze nie zamilkł,
jednakowo ginęli
tchórze i ci, co swej prawdy nie chcieli się zaprzec.

Fryderyku, obyśmy znowu się nie stali
przypadkowymi aktorami
w tym krwawym hiszpańskim teatrze!

Wykrzywiają się maski, uszminkowane twarze,
niegdysiejsze trupy w coraz większej są cenie,
młodzieńców udają upiory stare...

Fryderyku,
nie pozwalaj, by zbrodniarze
powiewali twym imieniem
jak sztandarem!

*

W górach Gredos, koło wsi Hoyos de Espino,
most, przerzucony nad rzeką Tormes.
Jeszcze nie rzeka,
raczej strumień, co ledwie z granitu wychynął,
a skały nad nim szare i niepozorne.

Czemuż się ubrdało budowniczym,
by właśnie tu wslawić się takim mostem?!
Ta dolina na giełdach świata się nie liczy —
tam drogi zawsze krzywe, a tu proste.

El puente romano — opowiada stary pasterz:
rzymski most — stoi od dwudziestu wieków.
Płyną obłoki kłębiaste,
człowiek kuł
i niczego na swą korzyść nie przekuł.

W górskich lasach wilcy, nad nim kozice skalne,
nad skałami przechodzą deszcze nawalne,
jeszcze wyżej — tylko orłowie.
Jak do mostu rzymskiego tę dolinę dopasować?
Jakie czyny potrzebne, jakie celne słowa?
Jeśli wiesz, to odważ się i powiedz!

Dwadzieścia wieków, most się nie zachwiał — ani, ani!
Przychodzą mistrzowie murarscy, kiwają głowami:
— Toż to rzymska, nie znana zaprawa!
Gdy nie wiecie, czy na lewo, czy na prawo,
może byście taką samą zaprawą
zechcieli społecznie się stawać?

Kimże jest, co tej dolinie urąga?
Przecież każdy tutejszy parobczak tłustego pstrąga
gołymi rękami łapie na płyciźnie.
Próbowałem i ja w tych połowach zwyciężyć,
ale nie, to nie był pstrąg,
lecz płynący rzeką księżyc —
nie wiedziałem, że mi z rąk się wyśliznie.

Trwaj, rzymski moście, nad rzeką Tormes!
Łącz brzegi, nazbyt niepokorne!
Niech przechodzą przez ciebie, jak od wieków
wozy, wypełnione jesiennej doliny żniwem,
ciężkie muły i osiołki cierpliwe,
wszystko to, czym się żywisz, człowieku!

Tam byłem, w rzece kąpałem się, wino piłem,

rzymski most wielokrotnie pozdrowiłem,
jakbym własnego pozdrawiał pradziada.
To tak pięknie na obcej stronie
czuć, że wiatr się wciska w twoje dłonie
i do uścisku je składa.

Jeszcze naszej walce nie koniec,
póki chodzić nam po rzymskich śladach.

Krawana uchodźców rozciągnięta na gościńcu,
mrok i plucha - oto obraz zwyczajny.

Domy i ogrody, zniszczone przez barbarzyńców,
śmierć Fatmy i hańba Sulajmy.

Gdzieżeście, czasy wielkich Ommajadów*,
gdzie miecz,
którym się przepasywał Abd al-Rahman?

Chwała kalifów** zniknęła bez śladu
I rządzi uzurpator i szachraj.

Tyle miast, które wróg okrutny zniszczył,
tyle ludzi wymordowanych!

Noc przechodzi wśród popiołów i zgliszczy,
przesłaniając skrwawione łachmany.

I próżno do białego czekać rana,
nie doleci do celu strzała myśli tępa,
gdy serca są w łachmanach,
sumienia w strzępach!

Gdy lęk odbiera dłoniom prawowiernych
Moc, która sztandar wznosiła Proroka;

gdy mchem i pleśnią zarosły cysterny,
a tłumy tchórzy poznajesz po krokach;

gdy rdza na toledańskim zjawia się żelazie
i próchno zżera trzciny fletów;

Gdy do lochów rzucono kadich, a muezzin***
Boi się chwałę Bożą głosić z minaretu.

Gdy na próżno uciekinierzy,
Że w innych królestwach lud przed nimi się wzbrania,
Prawdę usiłują szerzyć
o krwawych prześladowaniach;

A chociaż nikt im nie przeczy,
Żaden z władców, emirów ni imamów****
Nie podniesie sztandaru ku odsieczce
konającego za miedzą islamu.

Sdudnia krzywdy wypełniona po brzegi
Zguba w astrologicznych wypisana znakach.

I tylko goryczą bezsilnych elegij
Zarastają usta śpiewaka.

*

**

Dzień był chmurny jak przystało na porę żałoby.
Port jak cmentarz, okręty jak groby.

Trzepotały żagle — prześcieradła śmiertelne.
I nie było nikogo, kto by
smutku nie czuł pod siódmym żebrem...

Pożegnania — strzały niecelne,
łzy żałości — cekiny srebrne.

Ale to ja odjeżdżam,
a nie wy, co zostajecie.
Ale dla mnie ta noc bezgwiezdna,
gdy się będę tułał po świetle.

Otom odszedł — w mrok rzucony dziryt.
A poza mną cmentarne kiry...

Ale drzew, które uniosłem pod powiekami,
ale wód, które dźwięczą w mych uszach...
Nie ma mnie, a zostałem z wami,
a przede mną pustka i głusza.

Ziemio rodzinna
ziemio ojczysta!...
... Otom wyrwana z gleby roślina,
rozdeptana na drodze glista.

Andaluzjo!
Andaluzjo jedyna!

Chcę umrzeć.
Zabierzcie mnie stąd.
Odnieście i przykryjcie ziemią ukochaną,
jedynym, jakiego pragnę, kirem.
Tam chcę spać w cieniu oliw
nad Gwadianą
lub nad srebrnym
Gwadalkwi wirem.

Gwadalkiwir jest jak szabla skrwawiona,
Co spoczywa na wzorzystych ręcznikach.

A oliwki jak panny w srebrzystych zasłonach,
Żadna swego cienia nie umyka.

Zaraz słowik sam s sobie się rozkocha,
Oszaleje w gęstwie jaśminów
I stać będzie w spazmatycznych szlochach
Złotem tkany mrok Albaisinu.

Ale ja nie chcę tej nocy i tych rzek,
co zginając się omdlewają
Pod naręczami kwiatów;
Nieopatrny, żałosny zbieg,
Chcę powracać ku ojczystym krajom,
Na spalone brzegi Eufratu.

I przy pannach andaluzyjskich,
I przy ucztach nocnych i winie,
Zawsze widzę pod Orionu błyskiem
Opuszczoną rodzinną pustynię.

Otom jest jako trup między wami,
A ta uczta – to po mnie stypa...

Czas powracać do mej ziemi, czas mi
Do jej piachów czułą piersią przypaść.

A żem nie mógł tęsknocie dać rady,
Niech mnie wróg do siodła przytroczy,
Niech sprawuje zemstę swą hucznie,
niewolnika wlekąc u strzemion.
Kiedy głowa ma zawiśnie nad bramami Bagdadu,
zanim sępy wydziobią jej oczy,
jeszcze będę z okrwawionej włóczni
patrzeć w ciebie,
ukochana ziemio!

Jeden świat jest o czterech twarzach,
przed Jedynym korzący się Bogiem.

W czterech kształtach żywioł się powtarza;
ziemia, woda, powietrze, ogień.

Dłoń Allacha na pustyni się kładzie
groźną łuną nieśmiertelnej sławy.

Cztery konie chodzą w moim stadzie:
kary, siwy, gniady, cisawy.

Kary koń przelatuje,
na czole świecąc gwiazdą jasną
czarna noc, w której błyszczą Plejady.

Siwy koń galopuje:
gwiazdy gasną,
słońce wschodzi, biegnąc w jego ślady.

Koń cisawy nadchodzi stępą
po kwitnących podgórszych łąkach,
grzywa skrzydłem wzlatuje sokolim.

Gniady koń żywioł ognia rozpętał,
krew pobitych w piach pustyni wsiąka,
jęczą panny, wleczone w niewolę.

W czterech kształtach powtarza się żywioł:
ziemia, woda, powietrze, ogień.

Daj nam, Boże, śmierć sprawiedliwą
twardym siodle i w walce z wrogiem!

Pytasz, czemu mi skronie posiwiały.

Jeszcze nie noc i księżyc włosów nie osrebrzył,
jeszcze dzień i słońce mnie ozłaca,
jeszcze lato
i szrony na ziemię nie spadły.

Więc pytasz, czemu mi skronie posiwiały.

Biały jest kolor żałoby.
Białe są prześcieradła, w które owijają umarłych.
Biały jest marmur
pod którym znużeni spoczniemy.

Biały jest kolor żałoby.

Gdy ci umrze kochanek,
wyjdiesz cała w bieli,
ciemną głowę okręcisz w całun biały,
białym kwieciem
cmentarną ścieżkę wymościsz...

To dlatego mi skronie posiwiały,
żem w żałobie
po umarłej młodości.

Mówi poeta Ben Al-Zakkak:

— „Na złotą powierzchnię rzeki
wiatr spadł swawolnym tańcem
i płatków purpurowych róż nazdmuchiwał.
To dzida, rzucona znienacka, przebiła pancerz
i ciało opływa
krwią”.

Mówi poeta Ben Safar Al-Marini:

— „Wiatr rozdarł tkaninę rzeki do głębi,
więc zagniewana wylewa,
aby dopędzić go w biegu.
Lecz, usłyszawszy, że ukryte w drzewach
szyderczo się śmieją gołębie,
zawstydzona,
wróciła do brzegów”.

Mówi poeta Ben Hafacza:

— „Jako rzęsy źrenicę, tak srebrną głębinę
otaczają gałęzie na brzegach.
Rzeka jest czarą z perlącym się winem,
w której wzrok złote słońce dostrzega”.

Ale myśmy, pochyleni nad nurtem,
nie widzieli róż, ani fal, ani słońca,
co winem chlusta —
nie widzieliśmy. Nie widzieliśmy nic więcej,
jeno złączone nasze usta
i mocno splecione ręce.

Miłość jest srebrną chustą, którą księżyc
ociera czoła, skąpane w śmiertelnym pocie.
Aleś ty była łucznikiem, co z wysokiej wieży
nocnej tęsknocie napina cięciwę.

Miłość jest dzbanem wody, pochylonym ku wargom
wędrowca, pozbytego nadziei i mocy.
Aleś ty była wiatrem, spiekotą i skargą,
podrywającą o północy ze snu.

Miłość jest haftowaniem siodłem i strzemieniem,
do którego wygodnie przylega jeźdźca stopa.
Aleś ty niosła tylko bunt i cierpienie
i byłaś jak na okopach czarny sztandar.

Miłość jest hebanową poręczą i miękką zasłoną,
łożem, na którym o zmierzchu spoczywasz.
Aleś ty była błyskawicą czerwoną
i burzą, co na żniwa gradem opada.

Przeto odrzucam srebrną chustę,
haftowane siodło, poręcz hebanową
wylewam napój z bukłaka, by w piasek pustyni wsiąkł,
i przypadam pokorną głową
do twoich kolan i rąk.

Kiedyś była gałęzią zieloną,
siadywały na tobie gołębie
i bywałaś im czuła i przychylna.

Aż cię wybrał myśliwiec chciwy
w łuk zgięła cię jego ręka silna,
uwiązała twardego sznur cięciwy.

Kiedyś była młodą narzeczoną,
wybiegałaś do mnie z namiotu
jasną tęczą po ożywczym deszczu.

Aż poznałaś starców bogatych
i wyrzekłaś się mych pieśni i pieszczot
za maneły i jedwabne szaty.

Teraz gałąź, wygięta w łuk,
razi grotami gołębie,
serca przyjazne przeszywa.
Teraz spojrzenie twoje - szyderczy wróg -
moje serce do głębi.

Gałąź zła.
Kochanka zdradliwa.

Och! Andalużjo Górna!
Och! Andalużjo Dolna!

I tu i tam
krzyż nad drogą ramiona zgina.
I tam i tu
czerwona na zboczach glina.

Bylebyś na czas przywdział żałobę.

Zielone ogrójce od Grenady,
srebrne strumienie od Sewilii,
A od Kordoby,
a od Malagi nad umarłym
tylko kamienny krzyż się chyli.

Unieście wysoko ciało,
niech go ujrzy, pyszna i nieczuła...

Powiedzcie matce:
— Stało się, co się stać musiało.
Zła miłość
serce mu struła.

To słońce, które oczy znużone zarasta
i rozetą rozkwita na ceglanym murze.
To wiatr, co już od dawna czujne serce urzekł,
A teraz przez ulice współsennego miasta
prowadzi na włóczęgę. Wiatr, mym losom skłonny,
zabiega z tyłu, kładzie dłonie na powiekach
i pociąga za włosy, gdy stoję i zwlekam,
zatrzymany nad brzegiem zmałconej Garonny.

Czy to ja jestem, który przez dzień cały chodzę
po życia zbłąkanego zagrożonych kresach?
Kamienny gotyk świątyń, mieszczański renesans
wołają mnie i kładą się w poprzek mej drodze,
jakby chciały, zawrócić...
Po cóż ta wyprawa
Po czyny, co nie przyjdą, po sny, które zwiędną,
gdy życiu, co by mogło być sprawą bezbłędną,
zagroza walka próżna i daremna sława.

Ten jest mój los, co wdziera się uzurpatorsko
W młody wiek i swój wyrok tyrańsko obwieszcza...-?
Zawsze gardziłem ciszą zasiedziałyich mieszczan
I chciałem się wywyżżyć moją gniewną troską
nad dym spokojnych ognisk.

Dzień mój obok przeszedł
i oto próżno patrzę, jakiej cichej strzesze
powierzyć silne dłonie i ambitny zamiar
hardego życia. Wszystko obumarło, o czym
śniło się tak niedawno. I ciemność przestania
horyzonty, przez które nigdy nie przekroczę.
Lecz wiosna twarz puszysta do ust moich tuli,
Jest dobra i wierząca.

A wiosna wybiegła
na spotkanie mym krokom i w przecznicach ulic
zaprasza mnie ze sobą, na odwiecznych ceglach
wiesza się młodym liściem, szaleje w jaśminach,
przegina się na rękach, wstydliwie się płoszy
i znów chętna, i suknię na piersiach rozpina,
gotowa na przyjęcie conocnej rozkoszy.

I nad wilgotnym mrokiem romańskich katakumb
powietrze się zatacza, gęste jak alkohol.
Na placu tysiącletnim nie widać nikogo,
jeno Bóg, skryty w ceglach, jak w ognistym krzaku
pieśń architektoniczna śpiewa. Skamieniałą

melodia, rytmem łuków, symfoniczną skałą
stał się potężny gmach i stopą silną
odbija się od ziemi:
w gzymsów górny pościg,
w nostalgii linii, w świętą nieomylność
serca, co zatęskniło za wzrokiem wieczności.

Wczesny zmierzch mgłą osnuwa ściany złotorude.
i strop nieba ciemnymi fiołkami zarzuca./

Wędrowiec zabłąkany, własnych dni maruder,
wciągając tę wiosnę w niespokojne płuca,
gdy obok, żywym srebrem głosów dźwięcząc,
przesuwa się gromada roześmianych dziewcząt;
nim pożółkłym listowiem obsypie się młodość
i te głosy beztroskie na strzepy się zedrą,
one w życie nieznane radośnie się wiodą,
linie nóg podpatrując gotyckim katedrom.

I już noc się opiera na gwiazdzistych wozach,
i śniade stopy płucze w zacichłej Garonnie.
Wznosząc w niemej modlitwie skamieniałe dłonie,
wyżej rośnie w jej mroku mistyczna Toloza;
i ta noc, wizja dziewcząt i cisza wyniosła,
wspomnienie dnia, co złotem w źrenicach się smuży,
są jak groźna zapowiedź daremnej podróży,
co czeka mnie, ramiona oparłszy na wiosłach.

Żebra głazów oparte o trawę i gruzy,
gorącą falą napływa zapach rozkwitłych migdałów.
Przytul do szarej płyty żar spieczonych ust
i życia żałuj.

Tutaj śpi. Jeszcze wczoraj przechodziła tędy,
dotąd w różach dojrziałych jej uśmiech się krwawi,
jakby znowu spojrzała przez okno legendy
w groźne oczy nawisłych ponad głową lawin.

Wśród nocy, co opada jak śmiertelne płótna
i próchnem gwiazd się sypie na biedny grobowiec,
cóż zostało?

Czy tylko ta miłość okrutna,

miłość wspomnień daremnych? Odpowiedz.

Czy ciało pięknej dziewczki, przywalone drzemą,
słyszy naszą udrękę i bierze w niej udział,
gdy niebo jak na wieki zakochany Demon
pochyla się nad ciszą górskiego bezludzia.
I dźwięk surmy trzystronnej, gdy serce pogłaskał
i załamał się w szlochu i bezsilnie zamarł,
i rzewny trel słowika, i ta noc kaukaska
nie podniosą cię z trumny, o, Tamar?!*

Smutny szatan upadły i śpiewak z Rustawii **
szliśmy tutaj z daleka, zbłąkani podróżni,
miłość nas opuściła, żaden Bóg nie zbawił,
więc serce w nas jest trwożne i bluźni.

Czemuż spod gruzu białej ręki nie wypłaczesz
i skroni nie podźwigniesz z twej kamiennej skrzyni?
Czy nazbyt ciężą głogów rozrośnięte pnące
i naręcza więdnących glicynii?

Że w tę noc, co się kładzie na zacichłych łądach,
pod wiatrem,
co nas płaszczem szumiącym owinął,
nie chcesz ze snu się zbudzić i jak niegdyś spoglądać
w groźne oczy nawisłym lawinom.

*

**

Cichną już za oknami spiże zgiełkliwym centuriom,
milkną doczesne dźwięki, właściwa powraca miara;
wówczas niebo się chyli nad mglistą Swanetią i Guria, *
szumiąc wieczornym liściem w nadśluchujących czynarach.

O takich zmierzchach cień, zadumą wieków pochmurny,
na rękopisach moich codzień się kładł i — jeżelim
dosłyszał ciche kroki w dźwiękach dalekiej zurny —
wiedziałem, żeś ty nade mną przystanął, o, Rustaweli!

Czy kwiatom twoich słów na grzędach moich żyźniej,
że długo nie odchodzisz i z drogi ciągle zawracasz,
słuchając własnych tęsknot w rozkołysanej polszczyźnie,
jakby ci wdzięczna się zdała niepróżna moja praca.

A przychodzili goście, i jak uprzejmy gospodarz
przez sine ścieżki ogrodu szedłeś im naprzeciw;
krzyżowały się błyski na niebie, jak dźwięczne rymy w odach
tak na odległość lat rozmawiają ze sobą poeci.

Słowiki cichły, gdy cień twój ująwszy za ręce
ktoś mroczny spływał, jak stary wiew Ghibellinów, **
i była wielka radość w gwiezdno-mistycznej Firenze,
że oddech archanielski w późnym odradza się synu.

Jak malarz na rusztowaniu w ruinach starej budowy
spod tynku wydobywa szacowne malowidła,
tak ja odgadywałem przez gęstą mgłę obcej mowy
twe zniekształcone i zmięte,
a przecie potężne skrzydła.

Jeszcze rysów nie dojrzałem, ledwie je wyczułem w dłoni,
jak ślepiec, co tyle widzi, ile dotykiem wyżebrze,
i w palcach mi prześwitywał urok twojej harmonii
w czarnym wykutej granicie i w miękkim wyrytej srebrze.

Teraz kresu dobiegłem, przebytą drogę oglądam,
jakbym żałował pośpiechu, że nie wędrowałem dłużej,
a słońce razem ze mną ku cichym zstępuje łądom
innym otwierać uroczne i wzruszające podróże.

Gdy noc już zejdzie na góry, majestatyczna jak Thamar,
sypiąc różami gwiazd ku twym nieśmiertelnym prochom,
nim dźwięk ostatniej strofy w sercu mi zamarł,
w pieśń się owinę, jak w płaszczy,
i znowu w niej się rozkocham.

Wtedy, cieniu niknący, powolnym rytmem wiosła
odpłyn dokąd cię wzywa ojczyzna twoja kaukaska,
i sponad Gruzji uśpionej daleką dłonią błogostaw
kraj, który w dźwiękach twojej pieśni
stanął jak w łunach i w blaskach.

*

**

Nad Rzymem rudy zachód. Plebs się burzył.
Piekarnie wydawały chleb, lecz był zatruty.

Z wschodnich pro wiej i przychodziły
coraz gorsze wieści.
Partowie znów wycięli w pień dwie legie.
Piraci wychylali się zza illiryjskich skał.
W świątyni Westy dym się kładł po ziemi
i nie chciał piąć się w górę.

Na rynkach po raz pierwszy wzrosły ceny
na niewolników z Syrii i Numidii.
Spiżowe tarcze grzmiały, choć ich nikt nie dotknął,
i wróżę bali się w dymiące patrzeć trzewia.

W koszarach barbarzyńcy kuli konie
i skry leciały z kuźni, jak ogniste osy.
Widziano:
Imperator kazał się nieść na Forum,
senatorowie za nim, lecz zasłony
ich lektyk były szczelnie zaciągnięte.

A o północy wilczyca wybiegła ponad wzgórza
i głucho wyła.

Wiedziała dobrze: sutki ma wyschnięte,
więc Romulus i Remus
muszą
zginąć z głodu.

Nuciła półgłosem — i nagle z tych zwrotek
śpiew wywiódł się w górę i z niebem zaręczył, jest
światłem, jest ptakiem, opada w tęsknotę
i znów się podrywa i dźwięczy.

Ten głos cyganichy, rozkwitły w ukryciu
— zdawało się, chwila, a przed nim uklękne —
zanosi się, dzwoni o szczęściu, o życiu...
— Dlaczego o życiu? — bo piękne.

Jak gałąź jaśminu melodia się trzęsie
radością, wzruszeniem — i spala się smutkiem.
To rzewne wspomnienie, żałosne, jak szczęście...
dlaczego żałosne? — bo krótkie.

I cichnie Cyganka, nad piosnką umarłą
jak matka nad dzieckiem najczulej się chyli.
Nie żyje! I łzami przepływa przez gardło
tragiczna jedyność tej chwili.

Jest cisza żałobna i smutek i pustka,
jest mała garsteczka biednego popiołu,
gdyś dłonią wzniesioną natrafił na usta, ściśnięte i
gorzkie, jak piołun.

Zakazano jej pod karą śmierci
ogłądać się za siebie,
na miasto, które było dla niej wszystkim, miasto,
skazane na zagładę.

Za winy, przez nią nie popełnione,
za drzewo grzechu,
z którego nie uszczknęła ani listka.

Szła powoli za gromadką zbiegów,
coraz bardziej zostając w tyle;
stopy miała ciężkie,
jakby z kamiennej soli.

Myślała: — Jakże mam żyć
bez kołowrotka, na którym przędłam,
bez grządek przed oknem,
starannie okopanych motyką,
bez gołębi, które czule gruchając
siadały mi na ramionach?

Miała odejść, by ich nigdy nie ujrzeć...

Ulic, których każdy zakręt znała na pamięć,
rzeki, której nurtu
tyle razy dotykała bosą stopą,
drzew, pod które wybiegała na schadzki...

Już nigdy ich nie zobaczy.

Obejrzała się, ogarnęła wzrokiem
skazane miasto,
zamknęła w pamięci,
jak skąpiec swój skarb w ciężkiej skrzyni,
zatrzęsnęła ją powiekami
i skamieniała.

Zastygła
w najpiękniejszy pomnik miłości.

Wzięła na własność i uniosła
ulice, znane każdym dotknięciem palców,
mętny nurt rodzinnej rzeki,
gołębie, gnieźdzące się w dymnikach —
nigdy się nie dowie
o ich zgubie.

Nie dowierzajcie potępiającym wyrokom!

Zaprawdę,
ta kobieta jest godna zazdrości,
ocaliła swe miasto dla siebie,
zanim spadł na nie
wicher żelaza i siarki.

Módlcie się o śmierć równie piękną
śmierć
za cenę ostatniego spojrzenia.

Łbem szalonym w ściany domu wali wiatr,
światła okien w czarną przeszłość zmiata.
Jakże samym, zapomnianym pośród świata,
wyjść, wywikłać się z zetlałych życia szmat?

Jakże rozgrzać sztywny, trupi mróz
krwi zropiałej, siły, co wychódła,
i nachylić się w tę noc nad żarem źródła
srebrnych bioder i wilgotnych ust?

Nie podsycaj sobą ognia, który zgaśł.
Chciwie szczęścia w pustych oczach nie wypatruj.
We mnie nie ma nic, prócz świstu wiatru
i popiołem sypiących się gwiazd.

Ja cię mogę tylko porwać wpół,
unieść w mrok, ku nocnym biesom i strachom.
Zaplątany w gorzkiej wiedzy znachor,
uczyć smaku skrytych trucizn i ziół.

I, gdy wchłoniesz już zły czar, ciemny czad
w ufne serce, co kochało serce martwe,
wyjść przed próg i twego prochu garstkę
hojną dłonią rozrzucić na wiatr.

Która, szmery krwi własnej w zawstydzeniu śledząc
jeszcze uciekasz przed straszliwą wiedzą
życia i sploty ciemno-fioletowe
włosów, pachnących oliwą i nardem,
zwijas, męczeńską wokół okręcając głowę,
jakbyś własną urodę w nicość i pogardę
chciała podać i jesteś jako chmielny płyn,
co się za chwile dostanie pijakom,
jakież są twoje nakazy i zakon,
panno bez skazy cielesnej i win?

Gołębie błędą w kamiennych zaułkach,
rezeda kwitnie i dotąd nic więcej.
Co ci szepnęła mała przyjaciółka,
żeś zawstydziła się i obie ręce
na piersiach zacisnęła, a potem do rana
sny ci się śniły, więc snem zadumana
chodzisz w łunie i ptaków przyjaznych nie wołasz
jakby ci już na biedne panieńskie kolana
upadł mroczny cień archanioła.

Panno śmiertelna! W swej męce odwieczna!
Gdzie jest rodzina twoja i ojczyzna?
Do jakich nocnych podszeptów się przyznasz,
gdy już znamiona doczesnego miecza
nad tobą wstają, kiedy każdy gest twój
jest jako sygnał lęku i protestu
przeciwko zgubie, nim ścichnie i straci
w uległym smutku siły swoje młode...

Otoś skazana. I starcy bogaci
już się pytali o twoją urodę.

Suchą martwicą rozsypie się zachwyt,
co dziś przepala tve panieńskie dzieje.
Krzew twego ciała na wicherze zgoreje
i płomień, wędrując od serca do pachwin,
uschnie w nieszczęściu jak drzewo na spiecu.
Spoglądam z bliska w tve sprawy kobiece,
jak gdybym własnej matki groźne życie
czytał, litery smakując jak piołun.

O, zwiastowana, o, która w zachwycie
urodzisz grudkę prochu i popiołu!

Nie trwóż się. Syn twój w pustyni zamieszka
i będzie głowę pod gromami chował.

Nogi pobije na kamiennych ścieżkach,
na twardych sercach pokaleczy słowa
i, jak ja dziś, gdy z krzyża swego się wychyli,
jeszcze w śmierci pytając:

— Dlaczego-śmy żyli? —
krwawe mu stopy włosami obetrzesz
i, umęczona od zwycięskich pogan,
staniesz przed twarzą okrutnego Boga,
jak czarny płomień, co skrzepnął na wietrze.

Lecz dziś niech żadna surowa nauka
nie wtrąca twego ciała w klasztorne ubóstwo.
W noc wybiegnij bez trwogi i kochanka ustom
pozwól swe biodra i piersi oszukać.
Nie broń się, gdy ci drżące kolana rozsunie
i jak dziecko przyjmuje najpierwszą komunie,
tak go przyjmij w ufne wnętrzności.
Otoś w dniu tych zaślubin
bliższa śmierci cielesnej i zgubie,
więc — Hosanna na wysokości!

Pozdrowiona bądź panno i niewinne ręce,
gdy je na szyi kochanka oplatasz.
Twe usta wędną w oczach, tve ciało dziewczęce
przetrawia spieka straszliwego świata;
lecz nie umrzesz, останiesz się, panno zwycięska,
odrodzona po stokroć, gdy na twoich klęskach
dawno popiół jałowy wyrośnie,
a pod wstającą zorzą
inne oczy ku męce otworzą,
jak ty dziś, w twoje czułe przedwiośnie.

Gdy z twarzą od płomienia czarną,
pobity zmorą przez rodzinną szedł Firenze,
jak gdyby pragnął w czułe ująć ręce
Palazzo Vecchio, katedrę i Arno,
o co przechodniów spóźnionych zapytać
chciał?
Jakim słowem twarde serca wzruszać?
On - opuszczony od wszystkich banita,
bez wiosła i bez Wirgiliusza.

To sen był tylko, śniący się niezmiennie,
sen natarczywy, zesłany przez diabła.
W znienawidzonej i obcej Rawennie widać,
modlitwa wędnąca osłabła albo wrót nie domknęli
leniwi dozorczy.

Gdy gość nocny pochylił się śniadym obliczem,
z ust mu opadł bezsilny egzorcyzm i zaczął wołać:
- Ratuj, Beatrycze! Ale oczy zielone uderzyły z bliska,
że nie mógł już świętego imienia powtórzyć
i dał się unieść w krąg siarczanych błyskań,
stratowany kopytami burzy.

Takie samo spojrzenie i profil w onyksie kuty,
co w dymach i oparach wschodził,
gdy krew spływała po wzburzonym Styksie
i zęby potępieńców darły burty łodzi;
ta sama aureola, purpurowo-szara,
nad głową mu świeciła - szyderczą i smutną
jak gdyby już spoczywał na plugawych marach,
zawinięty w śmiertelne zadżumionych płótno.
Rozłączyła ich boleść, złączyła na wieki rozpacz
tych samych połamanych skrzydeł.
Moc niosła spiż żałoby od dzwonnicy dalekich
i z łoża się poderwał, i wołał:
- Już idę!

Daremnie mu na progu rozwiązał się sandał,
próżno za płaszcz go chwytał trwożnych dzwonów alarm.
Wybiegł - po raz ostatni, na zawsze banita...
Lo giorno se andava* i życie dopala.
rankiem, z piersi odwaliwszy zmorę,
sam na sam z grzechem,
twarzą w twarz z sumieniem,
poznał, że noc tę spędził z swym własnym upiorem,
że wszystko było sen i nawiedzenie;
i w pustym niebie nie ma Beatryczy

że zgnilizna
z niepotrzebnych tercyn...
tylko pozostało skomleć i skowyczeć, płomieniem piekła
Przetrawione serce

*

Od skał skruszałych wołał dzwon ochrypty
i złoto dnia topniało w jego nutach.
Pątniczą laską wbity w ziemię cyprys
zwiastował przyjście nocy. Ale tutaj,
gdzie znojna rzeka w biodrach się przegina,
gdzie się bielizna obłoków na trzcinach
suszy, jak płatki róż na czułych rzęsach,
nie było trwogi. Potok srebrnopienny
huczał i biegły brodate Syleny
chwytać różowe kochanki Rubensa.

Tu białe ramię spiż dzwonu odsunie
i ciepły oddech twym wargom nie skłamię.
Trzeba mu wiarę dać. We włosów rudej łunie,
w gorących trawach, zdeptanych przez łanie,
zgłuchniesz na głos alarmu i czuła niepamięć
przesłoni oczy. Ostry zapach mięty,
szorstkość koniczyn, spocona pożoga
i wyżeł śpi przy rozrzuconych nogach
czeszącej włosy Heleny Fourment.

Gorące iskry kłują nam powieki,
czerwone koła, cichy brzęk zausznic.
Zielone dzbany przynoszą znad rzeki.
Leją do kubków. Bądźmy im posłuszni!
Wyżeł się zbudzi i pyskiem potrąci
kobietę, która włosy na karku upina.
Wtedy wstaniemy, zmierzch na horyzoncie,
zgasł brzęk zausznic. Nadchodzi godzina.

Mrok ołowiany zawisa na rzęsach,
każdy krzew nietoperzem burym się otorbił.
Biegną różowe kochanki Rubensa
i suchy żużel rozsiewają z orbit.
Rozwiązują się ścięгна, piersi w oczach butwieją.
Syleny uciekają przed wzburzoną knieją,
potok płomieniem smolistym się otruł,
łaka wybucha siarką
i krwią zlepiony warkocz
spadł na piersi... A ta — już kościotrup!

Nietoperze skrzydłami biją nas po głowie,
krtań zakrtusiła się zimnym ołowiem,
pokrzywy ognia tną po gołych nogach.
Termity roją się w spękanych ustach,
spiż rozpalony porywa i huśta.

I nie ma nas, ni ziemi. Jest tylko pożoga.

Rzednący popiół przesiewa powietrze,
na miał kruszy się ołów, rzeka ognia gaśnie.
Nim ręka świtu martwe oczy przetrze
i przez kikuty drzew łakę przejaśni,
flamandzki malarz oknem noc odpycha.
Nowe płótno rozpina na sztalugach...

Znów srebrnopienna zaszumiała struga,
pies łapą skrobie we drzwi, koń za furtką prycha,
liśćmi okrywa się brzozowy pręt,
znów dają się Sylenom porywać dziewczęta
i w dzbany ciurka ciężka czerwień wina.

Idzie do męża Helena Fourment
odgarnia popiół z powiek i — w biodrach przegięta
powolne piersi z stanika odpina.

II

Popiół przepalił ciało. Giętki kościec
struchlał w bezwładzie. Żadna noc nie pierzchnie
z wygniłych oczu. O, moje miłości!
Noce wezbrane od omdleń i westchnień!
Mech jadowity piszczcele oplata,
lepkie kołtun pajęczyn chciwe usta zatkał;
już się łukiem pod grotem cięciwy nie napnę,
nie zachwycą się mną suknie złote i szkarłatne,
perł gorących szyja nie nasnuje...

Przywalone, przeżarte gliną i wapnem,
róże moje, narcyzy i leluje.

Żyłam, cała w przechyleniu bioder,
w geście dłoni, w czułym biciu tętnic.
On mnie kochał, jak się czerpie srebrną wodę,
jak się zrywa kwiaty rozwinięte.
Lub tratował mnie — lepka łakę — tętentem,
żeby zioła podnosiły się jeszcze bujniej.
I uległa mu byłam i powolna,
srebrne źródło, zgrzana łaka, róża polna,
powiązana z nim w jedyność i spójnię.

Winogrody ordzawił listopad
i świecącym fosforem moje oczy.
Z źródła czarna wytoczyła się ropa,
wąż się uląkł przy pieszczonych stopach,
zgniłe serce trupim jadem broczy.

W jamie brzucha, co był miłowaniem twoim,
śliskie robactwo się roi,
piersi z róży dojrzałej i srebra
zapadły się, wklęśły między żebra..
Nie dotykaj mnie, bo rozpadnę się łachmanem,
nie myśli o mnie, nie ruszaj,
nie patrz, nie patrz!
Ciemny cmentarz pod niebem ołowianym,
leci z wiatrem chmur podartych krepa.
Zamknij oczy na umarłych nędzę!

Nowy dzień na grobach się kładzie,
idzie człowiek przez pola Flamandii,
niesie w dłoniach paletę i pędzel.
I pod pędzla dotknięciem czułym
zawijają się ścięgna i mięśnie,
jabłka kolan wzbierają prężnym sokiem;
krąży krew pod skóry jędrną korą,
a jabłonie i winna latorośl
zaglądają do otwartych okien.

Wypełniły się żebra, brzuch na biodrach wsparł się,
krągleją piersi, pachną mlekiem i potem;
różowe udo spływa po atłasie,
cieszą się na mą nagość suknie szkarłatne i złote,
służebnica grzebień we włosach zanurza...

Otom jest:
— srebrne źródło, zgrzana łąka, polna róża,
czekająca, byś stratował mnie tętentem.

Płyną górą obłoki wniebowzięte,
oczekują parobcy za przełazem,
biegną panny przyjąć pierwszą zmazę,
dojrzewają ludzkie silne dzieła.
Chmiel się burzy w dębowej kadzi
i na niebie nutami wygwieżdżonej Flamandii
Mleczna Droga,
co z jej piersi się poczęła.

Uśmiecha się. Tak grymas ust przechodzi w uśmiech,
nieśmiały, czy śmiałością nasycony nazbyt?
Spojrzenie źrenic — nie myśl, że przyjaznych;
jak mroczna w nocy gałąź, co zaledwie muśnie
przechodnia, ale tylko samej sobie kwitnie.
Dłonie spoczęły po miłosnej bitwie,
oczy zawsze jakby nie widzące,
że komuś czynią niezwykłą łaskę.

I wszystko w niej, jak konające słońce,
co zaszło,
ale jeszcze chce sycić swym blaskiem.

Więc nikt nie dowie się, czy pan małżonek
potrząsnął kieską, bo pragnął utrwalić
ten uśmiech, czy też jejmości znudzonej
zachcianka przyszła na słynnego mistrza...

Ci wszyscy, co się do niej zalecali,
którym jej ręk leniwy gest
oczy roziskrzał
i żwawiej pędził krew do tętnic,
już nieuchwytni są i obojętni —
nic jej po hołdach przebrzmiałych i zmysłach.

Pajaczek biega nad klepsydrą skrzętnie,
w grobach robactwo się pleni i żmije,
gdy ona już się przebiegle domyśla,
że ich przetrzyma
i w śmierci przeżyje.

Rudą łuną pożaru groźny wichur wyrósł,
ludzi i sprawy w krwawy nurt zagarnął.
Drżą kampanile i galijski Cyrus*
zziajane konie wparł w zmaczone Arno;
żałobny spiż na egzekucję dzwoni,
na szafot wstąpił straszny mnich Hieronim,**
rzymski wikary grzeszną wyklina Firenze.***
Ale w niej serce nie zabije tkliwiej
i uśmiecha się pobłaźliwie,
na krzyż składając nieobecne ręce.

Nie dla niej straszne znaki w nawistych obłokach, nie
lęka się złowróżbnych gwiazd, na szczęście łasych.
Adamaszki adziamskie, wyszywany brokat,
aksaminty pieściwe, gładkie altembasy,

bisiory i purpury, szkarłatne jedwabie...

Czy wiatr zawiewa potężniej, czy słabiej,
czy korsarz grozi nawom wenecjańskim,
czy wsie i winnice płoną,
nie zabraknie białym ramionom
złotych monist i pereł uriańskich.****

Pewna siebie.

- Niełaska grozi golfonierom *****

Stolicy Świętej — sztylet, jad w ciętym pucharze.
Jej mąż nie zna ambicji takich, szczerść
wołąc kupiecką.

Nim zachód się zażegł

krwawą purpurą, mierzy i oblicza.

Tak lepiej. Milszy jest jej spokojniejszy zwyczaj,
więc uśmiecha się, własną jasnością obdarza.

Nie, nie obdarza — pożyczka.

Sąd Ostateczny ktoś w trosce obwieszczał,
ziemia pocila się krwią, jej dyszące trzewia
przebijał oścień ognia. Piękna mieszcza
układa fałdy sukni.

W gorących powiewach

jęło się kruszyć niebo, dumnym Babilonom
podcinano kolana i pożogą czerwoną
oznajmiały się ludy nadchodzącym dziejom.

Poznawszy śmiertelny wyrok,

pękały struny lirom

i szły zwierzęta dzikie mroczną knieją.

Siedzącej nikt nie ruszy. Na struchlałych łądach
ognista różga. Z sykiem stygnie popiół.

Wszystko widzi przez wieki, a obok spogląda.

Przyjdzie burza i miasta na żar się roztopią, zagrzmia trąby szatańskie na ostatni
atak,

skruszą się góry i spiętrzą na gruzach świata,
jak w pompeańskim teatrze;

Arkę Noego połknie nienasycony Lewiatan —
ona będzie siedzieć i patrzeć.

Dawno zmarło się diukom, papieskim bastardom,
lecz słychać lekki krok na bruku —
jakże hardo

i po czterystu latach odzywa się echem...

A ona: Co? Ten stary? Ach, tak, Leonardo!
Unieśmiertelniłam go
swoim uśmiechem.

*

**

Cudzoziemko, dziewczyno dziewiętnastoletnia,
o głosie, brzmiącym dźwięczniej, niż pasterska fletnia,
z biodr okrągłych podobna do rzeźby etruskiej
i dwojgiem mocnych piersi poprzez jedwab bluzki
oznajmająca oczom kobiecą dojrzałość!
Czyja ręka przechyli w miłość smukłe ciało?
Kto cię, na razie tylko przeczuciem ciężarną,
weźmie tak, jak się w ziemię rzuca młode ziarno,
i życiu pozostawi, bezradną i tkliwą?

Dzisiaj cię, zakochaną w ziemi i szczęśliwą,
każdy smutek omija, w młodości i śpiewie
kwitnąca bez ratunku, żadnej troski nie wiesz;
śpieszysz się, stromą piersią powietrze roztrącasz,
światu jakże przychylna i tryumfująca,
sama smukłość od wstążki z włosów aż do pończoch;
płyniesz i wszystkie drogi w twych krokach się kończą,
aż przystaniesz, z zachwyty zbudzona nareszcie:
— Otom jest, urodziwa, więc pójdźcie i bierzcie!

Jak ptak, co siadł na chwilę na kwietnej łodydze,
tak ten wiersz jest przy tobie. Spoglądam i widzę,
jak cię dnie, coraz inne, w mroczny świat powiodą,
jak na nędznych uciechach przepali się młodość
i wzrok zgaśnie, co serca bijące odurzał;
pod rękami złośliwca, przestępcy i tchórza
zwiędną piersi, owoce szczęścia i rozkoszy;
melodia twego głosu na zawsze się spłoszy,
strach przed życiem uderzy, któregoś nie znała...
W pracy, w nocach bezsennych, w smutku postarzała,
obejrzyś się, za tobą popiół i ruiny.

Jeszcze się w mrok odwrócisz, tam twój skarb jedyny,
dziecko kwili w kołysce od piskłat bezradnie.
Losy zawsze te same serce twe odgadnie:
nietwórczy trud, brzydotę, zbrodnie nazbyt małe —,
wiec na wychudłe ręce skronie osiwiące
pochylisz, z łez oślepla i już nie czująca.

Tak cię widzę, gdy kwiaty wiosenne potrącasz
młodą piersią i w życie nieznane się śmiejesz.
W trwodze i trudzie grzęzną nasze ludzkie dzieje,
śmierć oczekuje w mroku, klęska i daremność.
A ty idziesz przez pustkę ziejącą i ciemną,
jasny ptak, co skrzydłami o słońce się otarł,
matka szczęścia i bólu, śmierci i żywota,
naczynie żądz cielesnych, jak zatrute wino,

śmiertelniczko, na mękę skazana dziewczyno?

I

Skąd jesteś rodem? Czy z mgieł wiekuistych?
Z liści dębowych, którymi wieńczy gloria?
Czy też z chemicznych, mętnych mikstur,
kipiących w mrocznych laboratoriach?

Kiedyś jest bardziej sobą? Czy gdy słowem
pieścisz się, jakbyś cyzelowała cacka,
i czy w burzy, tracąc szaleństwem zdjętą głowę,
skrzydlata panno samotracka*?

Rodzisz się, kiedy żrebce topól
wicher zbójeckim płoszy świstem
i zgrzanym śladem wilczych tropów
wędrują gwiazdy uroczyste;

kiedy przecięta dnia aorta
w zachodniej stronie coraz mocniej krwawi,
a na wdeptanych w ziemię fortach
straszą widziadła błyskawic;

kiedy w pogańskich dębów dziuplach
jaśniejają twarze złotem próchnie
i bór, na gęste brwi nim chmur nasupła,
sto razy uśnie i ogłuchnie...

Gdy się w malignie budzimy przed świtem,
trwożni, że krzyżem trucizn nas namaszcza;
gdy zboża w polach kładą się pobite
I diabeł chciwą rwie je garścią -
wtedy nadchodzisz - czujny architekt -
przerzucać mosty nad przepaścią.

II

Bywa. iż zgrzebny woląc obyczaj,
z pługiem o późnych wracasz zmierzchach,
a zaraz potem rozpuszczasz ogon paw
i krokiem posuwistym suniesz z pańska;
srebrzysta bywasz i słowicza,
rusałka pluskasz w sennym stawie
lub przez zielone wzgórza pierzchasz,
jak złota sarna horacjańska**.

Tyś zawsze tam, gdzie wicher targa
włosy i piorun nagie piersi razi;
gdzie bije dłuto kamiennego rytu

i święty jeleń w mitologicznych lasach...
Gdzie na pontyjskich brunatnych piargach
dobiega kresu Anabasis***
i ze spieczonych ust hoplitów****
ku sinym falom krzyk: -Thalassa!***** .

Gdzie u ognistych skał Islandii
chwieje się łódź pogrzebowa wikingów,
aż łamią się pióra wiosłom bezwładnym,
nim je płomienie na popiół podrą;

tam zawsze zjawiasz się, swe skrzydła kładziesz
na skronie zawodnika na pięściarskim ringu
i biegniesz śladem grzmiących kwadryg
przez życia śmiertelny hipodrom.

Błądzisz przez bory i pustkowia,
wyzwalasz lisy z kłusowniczej matni,
wśród gromów i pożaru błysków
podajesz dłoń ginącym ludom koczowniczym;

nim nad reduta dym się rozwiął,
przychodzisz w sukurs obrońcom ostatnim,
na łokciach się podrywasz na pobojuwisku
i bandaż zrywasz, i krzyczysz.

III

Gdy w nocy się ockniemy, bezradni i nadzy,
a mrok zaczyna przed nami olbrzymieć,
gdzież wyzwolenie spod jego władzy?
jedynie w dźwięcznym rymie!

Gdy widmo, któreś sam niebacznie znęcił,
do drzwi dobija się coraz dobitniej,
gdzie znaleźć na nie skuteczne zaklęcie?
Jedynie w swobodnym rytmie!

*

**

Nie urodziłem się dla żadnej z ziemskich bitw,
lecz ani jednej z nich mi los nie odjął
i próżno wolnych słów melodią
chciał się uskrzydlić dźwięczny rytm.

Gdym nieprzytomny po mieście się snuł,
a bzy zroszone kwitły po podwórzach,
tyś nadchodziła, jak wiosenna burza,
i porywała stopy w mętny nurt.

A gdy mi usta, wezbrane jak pąk,
pękały gwizdem psotnego gawrosza,
szłaś czarnym tłumem pod wartownię koszar,
frygijską czapkę wtykając do rąk.

I pokochałem ten zatruty chmiel,
którym poiłaś mnie, dziewko złowieszczą,
bym ślepe okna sennych mieszczan
budził co noc i brał na cel.

W cmentarnej ciszy przeludnionych miast
w krzyk urastałem na trybunach
i oglądałem się — czy nad domami łuna,
lecz to wschodziły konstelacje gwiazd.

Kołował w głowie gorzki płyn
i skrzypce nawiedzały serce srebrnym płaczem.
A za oknami skrzydlaci spawacze
bili młotami w żywy płomień szyn.

I karczma, jak na ciemnej nocy prom,
gdy w nurt muzyczny ukołysał chmiel ją...
Czym wtedy byłaś — poezją, rebelią?
Coś przekazała przyszłym dniom?

Niepewnej stopy nikły ślad,
sny, przepalone walką niedorzeczną,
i pieśń, co chciała zaćmić wieczność
całopaleniem młodych lat.

Więc teraz głoś non omnis moriar *
tym gorzkim strofom, co już nic nie znaczą,
gdy całe życie, jak mroczna historia,
opowiadania na postrach słuchaczom.

© 2023 Pearson Education, Inc. or its affiliate(s). All rights reserved.

Za oknami gałęzie trzęsących się wierzb,
jakby łkały, że w mroku im niknę i ginę...
Ktoś do izby mej wszedł i nad głowa ma zmierzch,
jak żałobna rozciąga kurtynę.

Smutek w myśli się wkradł, smutek - cały mój świat,
rozleglejszy nad śmierć, ponad zło i nad dobro,
i powoli przesuwają się cień dawnych lat,
wzrok przesłania, jak dym i jak obłok.

Wydawało się łatwo, jak krew z młodych żył,
z serca dobyć na usta rebelię i grozę.
Otom z wrogiem się bił, a dziś leżę bez sił,
pokonanym i głuchym obozem.

Nie wypełnił się żaden z wyroków ni wróżb,
dzień donikąd nie przywiódł, choć stopy me znużył.
Całom wyszedł spod burz i przysypał mnie kurz
wytyczonej na ślepo podróży.

I już noc, i dla innych obudzi się świt.
Cóż po cudzym, gdym nawet własnego nie prześnił!
Z wszystkich walk. z wszystkich bitw
jeno został mi rytm
obojętnych i zbędnych już pieśni.

Jak Jozue*, pragnęliśmy zatrzymać czas,
by go starczyło na zamierzone dzieła.
Lecz fala, co nas niosła, wcześniej odpłynęła,
stos, zapalony w nocnym mroku, zgaśł...

Plątały się nam stopy wśród gęstych odziemków,
zdawało się - za każdym pnem ktoś czarny chrapie.,
Stawaliśmy, krążyli, a zawsze po ciemku,
nie mogąc drogi rozeznaczyć na mapie.

Za dnia nie było lepiej.
Z rudych wzgórz oglądaliśmy gruzy.
Skurcz w zaschniętych krtaniach,
Wyły zwierzęta i oczy nam przesłaniał
znad pobożowisk nie zdmuchnięty kurz

zostaliśmy, uparci, przy sprawie niełatwej
- zapatrzeni, jak zawsze, w gwiaździstą uludę
pod upałem i mrozem kładzie nową tratwę,
maszt i żagiel, i niezłomny rudel.

Żyjących coraz gniewniej i zajadlej
wiatr zaniesie i zaspą urośnie wyniosła.
Przechodniu, znajdziesz, gdy uderzysz szpadlem,
zepsuty kompas, starą mapę i ułamek wiosła.

*

Zadymka wyglądziała zmarszczki bruzd,
połem koń rozhukany się niósł,
pohukiwali pijani parobcy.

I poszliśmy z troską przez ugór i piarg,
jak z torba dziadowska, pełna żalów i skarg,
do ludzi obojętnych i obcych.

Ale nie mówcie, że nam ciemniej i puściej
niż było na jarmarku, na odpuszcie
przy wtórze lipkowych skrzypiec.

Ta ziemia blisko, dość że dłoń wyciągnę,
ta mowa szumi jak wezbrana stągiew,
na weselu równie, jak na stypie.

Jałowcowy od lasu dym
tą samą syci goryczą, a z nim
powracają twarze przyjaciół.

Uparłeś się być z nimi, to ciesz się i cierpł
W noc świętojańską księżycą sierp
na zawsze w pamięci się zaciął.

Zadymka dmucha śladami płóz
długość jej słuchał, długość się niósł
coraz śnieżniej, coraz boleśniej.

Tyłeś się w locie tym pozachwycił,
a dziś, powiedzcie, - Jaka różnica
być szczęśliwym na jawie czy we śnie?

Nie odpędzajmy przywidzeń i snów,
ani się wstydzę, żem jak niegdyś znów
głową pijaną przylgnął do skrzypiec.

Z ziemi żem wyszedł, z wiatrem żem rósł,
więc ziemię powrotną przybliżam do ust
i ona mi usta przysypie.

Na obcej ziemi boje się umierać.

Bez lęku spotkam śmierć ojczystą,
śmierć na ziemi, co mych prochów nie rozgubi.
Tam się oddam szeleszczącym liściom,
zamienię się w goryczkę i łubin...
Żeby mi lubelskie, cmentarne słowiki
zanosiły się co noc miłosnym krzykiem;
żeby wiedział, w ciepłą wtulony borowinę,
żem jest dla niej nie przybłądą, nie gościem,
lecz synem;
żeby mnie obcy kamień nie ziębił,
żeby każdym ścięgnem pilnie czuł,
że jak czarna próchnica, jak korzenie,
wrastam w ziemię,
aż do serca, aż do głębi,
w dno odwieczne,
w pradziadowski muł.

Żeby mnie głosy dochodziły z bliska
od wrosłego w płowy pagór majdanu.
Żeby małe dziecko litery nazwiska
zgadywało z deski, dżdżem na blich wytartej;
żeby na nadbystrzyckich rozlewiskach
kumkały żaby do białego rana;
żeby opary, wznoszące się z rozgrzanej gleby,
snuły się nad murawą mogilną
i żeby
dwoje młodych, wzięwszy się pod ręce,
rozmawiało najczulej wśród grobowych płyt,
żeby na chwilę,
na jedną nie więcej,
znów usłyszał polskiej mowy rytm.

Żeby mnie deszcz przepoił i wichher wydeptał,
żeby się stracił, zagubił w letniej nocy szeptach,
oszołomił listowia zwiędłym aromatem;
żeby, gdy się korzenie w moim sercu rozrosną,
młody krzew ponad głową zaszumiał
i ludziom opowiedział z nadchodzącą wiosną
wszystko to,
czego ja już nie umiał.

A na obcej ziemi boję się umierać...

Nie ufaj, zwieść się nie daj, nie wierz,
że wkoło miękkie szelest miodnych łąk,
a na powiekach łagodny nieba błękit;
że strumień w wód rozlewie
podpływa ci do stóp i rak,
i wiatr, jak uścisk przyjacielskiej ręki.

Nadejdą cienie zbyt ufnemu w ślad,
wilkiem do gardła nocny strach podskoczy,
skłębi się rzeczny nurt i wiatr
zwiniętą pięścią między oczy.

Bór się otworzy światłem groźnych sów
i będzie pokrzykiwać sowa sowie.
Magiczny uczynić znak i pacierz zmów,
nim weźmiesz udział w ich rozmowie.

Bo przed świtaniem wśród patetycznych drzew
zaszczeka czarny zwierz - twój los oczekiwany,
i z życiem ujdzie z ciebie śpiew,
jak krew z niedostrzegalnej rany.

Jeno śmiech wilkołaków pójdzie po moczarze,
jeno gwiazda nad borem się ukaże.

II

Coraz ciężiej oddychać ślepym dniom,
aż do rana noc się męczy i dławi.
Otwórz, otwórz okna dla błyskawic,
niech uderzy spodziewany grom!

Niech rozedrze stare blizny jak nóż,
gruzy godzin potarga i rozwiąże,
z kart spłowiących, z ropiejących książek
niech wywikła skrzydła nowych burz.

A dla siebie z wszystkich marzeń i pragnień
tylko tyle:
niechaj los mi zdarzy,
bym, gdy karta ostatnia się zagnie,
mógł żelazną mieć maskę na twarzy.

Aby, kiedy ognia białe ostrze
przetnie serce, śmiejący się bies
szyderczymi ślepiami nie dostrzegł
nakiptałych pod powieką łez.

I

Gdy noc jak płaczka u nieostygłych zwłok,
a okiennice wicher rwie z zawiasów,
z dna mroku, z mglistej głębi czasu
kierujesz do mnie niewidomy wzrok.

Wszystkie oszustwa i wykręty znasz,
słów plewę zbierzesz i wiatrem rozchwiejesz;
gdy opowiadasz nasze głuche dzieje,
jak gdybym patrzył w własną twarz.

Mocniej posępne ściągają się brwi,
jesień za oknem wnet śpiewkę swą dogra.
Tylko podpisać ostatni cyrograf
piórem, maczanym we krwi.

Przeto dyktujesz:
„Na belce zakarbuj dzień ten...”
Doradzasz:
„Przyśpiesz go, to lepiej...”
Chciałeś być prosty, aleś śmieszny garbus.
Wzrok wyteżądałeś, choć ślepiec.

Mówi - i płyną widma zmarnowanych lat,
i wyraźniejszy kształt wróżonym kirom,
gdy słowa potępienia i kolejny wyrok
kołują w głowie jak czad.

II

Odpywajcie, noce bezsenne, nie droczcie
dłużej!
Aniele zapomnienia, swą tęczę
rozpostrzyj przede mną,
abym mógł odejść i rozwiać się
w wicherze i chmurze,
i nie żałować niczego po wejściu w ciemność.

Opadają zmory i więdźmy, druzgocą
muzyckie narzędzie;
co się wydało ogniskiem, w rudą urasta lunę.
Nie ma już walczyć o co,
zwycięstwa nigdy nie będzie,
gdy krew uchodzi strumieniem,
za późno na opatrunek.

Teraz patrzeć, jak czarnym ogrodem,

od pluchy rozkołysanym,
kołując gnijące liście,
gdzie ich nuta jesieni urzekła

Nie oczyściło się życie młode,
choć było czyśćcem,
więc odpływaj w mgły i tumany,
nie znające nieba ni piekła.

Tylko glina rozmiękła, tylko rdzawe
chmury, a pod nimi
zachrypnięty kaszel mokrych wron i kawek.
I w trwodze drżące ugnie się kolano,
i rozpacz chluśnie do gardła.

Uczniowie marzeń nie na ziemską miarę,
reformatorzy mgieł, spici prorocy.
Zachód ich schwyta złocistym pożarem
na progu klęski i nocy.

I zaczną walić się do wspólnych grobów,
nie ukojeni w buntach i zgryzotach
anioł i szatan szli z nimi, lecz obu
głos do nich nigdy nie dotarł.

Więc ślad się po nich zatrze, jak na bagnie
co w jednej chwili topielca pochłania.
Rówieśnik minie popioły ich pragnień
bez żalu i bez pożegnania.

Tylko wiewiórka cmentarna wyskoczy
z gęstwy,
nad grobem wstrzyma się na mgnienie
i, jako oni, w milczeniu uroczysk
przeminie rudym płomieniem.

III

Wyruszającym w bój o groźnym świecie,
sen się nie przyśni o strzaskanej tarczy.
-Własna im siła największym odkryciem
i to na młodość wystarczy.

Gniazdo na skałach orła jest już domem,
oczy błyskawic wzrok wytrzymać umie*
- i wszystkim niemym, wszystkim niewidomym
złorzeczą w pysze i dumie.

Lecz bliska chwila, gdy w drodze przystaną

wstecz spojrzeć: przestrzeń za nimi umarła.
Jak po roztartym piołunie i mięcie gorycz.
Jak pustka po czyimś pogrzebie.

Ożałobiony trwasz w wiecznym adwencie
i wiesz, że gwiazda nie wszędzie na niebie,
Z całopalenia młodości zły swąd -
snuje się dołem.

Ku mrocznym wyrajom
ptactwo ucieka.
I trąby wołają
na dzień, na kaźń, na sąd.

*

Ktoś mroczną ręką gwiazdy startł,
z martwej topieli sterczą dłonie sosen.
I noc mi ciąży jak potworny garb,
który pokornie niosę.

Przede mną śmierć. Nade mną coraz głębiej
odzywa się i wznosi nieubłagany chór.
Jak ściana przerażenia stoi las.
I strzępy chmur, unoszą się w pożarze jak gołębie.

Ja także jestem skrzydłami zawieruchy
nakryty, wichrem obłąkany ptak.
Skąd idziesz, cieniu, jaki jest twój znak,
niemy w mówieniu i w słuchaniu głuchy?!

Deszczem mnie smagasz i pożogą trwasz,
dudnisz w otchłani kamiennego lasu,
w pustym niebie, jak w oknie, wyrwanym z zawiasów
ukazujący płomienistą twarz.

I szarpią się w twoich rękach ciemne czuby drzew,
gdy je aż po kolana ciężar gliny spęta!
I chmury biegną dołem. I są jak zwierzęta
trwogą pobite i wężące krew.

Przyjmuje ziemia twój conocny strach,
twą męką burza w gromach się przepala,
Z topieli sterczą dłonie drzew i czarna fala
powraca do nas w twoich szalonych snach.

Jeszcze ten śpiew, co w krtaniach już się zdarł
na łachman,
splata się z tragicznym twoim głosem.
I noc nam ciąży jak potworny garb,
który pokornie niesiesz,
który niosę.

To jest pieśń, to pieśń niedoskonała
na pochwałę ziemi i ciała.

Przed Tym, który nas gnębi,
upokorzmy się.
Z Tym, który nas spycha do nocnej głębi,
ułożmy się.
Modlitwą nakryjmy się,
jak trumiennym okrętem!
Rozpaczą uprzykrzajmy się
wszystkim Świętym!
Hymnem, jak sztyletem, przebijmy się!
Pieśnią, jak kulą, zastrzelmy się!
W nas samych, prawdziwych,
wcielmy się!

Chodziłem uporczywie pod górę,
ale wejść na szczyt nie umiałem.
Chciałem być opoka i murem,
a w proch się rozsypałem.
Teraz ośleplonymi palcami bezradnie grzebię,
chcę pozbierać, posklejać sam siebie,
alem się poroztracał, pogubił ze szczętem,
każde ścięgno moje w popłochu umyka
i pierzcha ze skowytem,
jako szczenię kopnięte,
żałobnego serca muzyka.

Nie ma mnie.

Jestem w wietrze, co na liściach gra
i do ust przechyla winne jagody;
w litościwym spojrzeniu psa,
lizącego mi zropiałe wrzody.
W czarnej roli, która zbiega do piersi przytula,
we wspomnieniu nocnych słowików,
w pocie, którym przesiąkła koszula,
i w własnym krzyku.

Nie ma mnie nigdzie więcej.

Uwiedziony zarówno brzydotą, jak pięknem,
jakimż hymnem pychę ust
mych oniemie?

Ale nie uklęknę,
nie mogę przed Tobą uklęknąć,

bom już wróś
po kolana w ziemię.

A wyroku, który zapadł, nie przebłagać,
a ciężkiego kiru nocy nie potargać.

Gdy zawiodło męstwo i rozwaga,
kiedy śpiew na czarnych usechł wargach,
mroczne Smętki, wilkołacy opadli,
zakręcili w korowodzie diablim,
nożem serce naznaczyli na krzyż.

Teraz siedzisz przy ognisku zagasłym i patrzysz,
przesypujesz popiół w dłoni, przesiewasz,
zastanawiasz się, czemu nie jest inaczej.
I nad głową szumią ci drzewa
pogrzebowych głosami płaczek.

Bo za dużo pijanej rebelii,
bo za dużo urodziwych pokus.
Próżno ręce pomocne znad obłoków
wyciągali przyjaźnie anieli;
kiedy martwa glina czepiała się obuwia,
nie umiałeś ich dosięgnąć w podskoku.

Tylko łeb do góry zadzieraszaś...

A już huczy, już kończy, zanim pacierz zmówisz,
ciosająca cztery deski siekiera.

Nie wybijesz tępym słowem złego klina,
tylko ci się przypomina,
przypomina.
I przysięgi niedotrzymane,
i zaklęcia, które na nic się nie zdały
i rozpacz na samym skraju klęski.
A sędziowie już badają każdą ranę
i spychają mnie z Piotrowej Skały,
zanim zepchną ze Skały Tarpejskiej.

Groźne brwi z błyskawicami się płaczą,
niebo stoi w złowróżbnej łunie
i chmurzą się święci zagniewani,
zatrząskują na siedem grzechów
swą parafię.

I nie przejdę zakazanych granic,
nie dołączę,
nie umiem,
nie potrafię.

Górami spiętrzyłeś się, rzekami przebiłeś się,
w nocy chodzisz, sine gwiazdy krzeszesz.

Tyś jest prom na wiosennej powodzi,
tyś jest chleba glon,
dzielony między rzesze.

Gdy piorunem ciskasz, nie chybisz,
i odwalasz chmur tłuste skiby
błyskawicy lemieszem.

II

Morzami rozlałeś się, burzami rozgniewałeś się,
kiedy lęk nas opada, milczysz.

W uroczyskach puchaczem się śmiejesz,
nocnym płaczem nawiedzasz knieje
krzykiem ptaka, skowytem wilczym.

Sny chybcą się w kamiennych brzegach,
który z nich wyżej wybiega,
już na księżyc porwany.

Tonę w snach — nieprzytomny pływak —
bucha krew, bandaże rozrywa,
z śmiertelnej rany.

I zaledwie się zerwiemy z ciężkiej drzemmy
spojrzeć w dzień obiecany,
już kładziemy się, już gnijemy,
martwą gliną przeżarte łachmany.

Aniołowie zwijają skrzydła,
słońce topi się w obłokach kadzidła,
grzmią spiżowe tympany.

III

Jeśli zechcesz, złam mnie i pognij
złotym ogniem Twojej Teologii,
jak blachę w kuźni.

Póki trwam w moich grzechach i skazach,
póki jestem z rdzawego żelaza —
bym się nie spóźnił.

Nie spełniłem, com obiecywał,
nazbyt żywa krew huczała w żyłach,
nazbyt wiele pod językiem krzemienia.

Tyle było urody i pokus,
tyle wdzięcznych widm na każdym kroku,
żem swój dług na drobne powymieniał.

Twoje oblicze mi objawia się,
Twoje mroczne proroctwo stawało się.
Nie nadążyłem,
nie potrafiłem...

Naszeptywałeś mi: trzeba wzbić się
nad zgniłą nędzę, nad robaczywe życie...
Nie było skrzydeł.

IV

Aniołowie Twoi nad ziemią przelatują,
czarni kowale nowe zbroje kują,
zbroje gniewu, zbroje nienawiści.

Z czymże wyjdę przeciw czarnym kowalom,
którzy grożą spiżem i stalą,
jeśli z grzechów mnie nie oczyścisz?

I modlimy się i nie wierzymy:
„Odpuść nasze winy, jako i my...”,
a nie chcemy odpuścić.

I walimy się pokotem na progu
tam, gdzie czeka nas i naszych wrogów
mroczny Książę piekielnej czeluści.

V

Panie Jezu, któryś za nas cierpiał rany,
daj do rąk
Twój miecz obiecywany!

Jest późna jesień i jeżeli w Guadarramie*
śnieg wczoraj upadł, lodowaty wiatr
powieje miastem. Ileż trzeba lat,
by te ulice tak mocno wydeptać
aż stopę twoją poznają na pamięć?

Wspomnij samego siebie w drzew uśpionych szeptach,
ich głos na pewno twym myślom nie skłamię,
jest taki sam, jak wtedy, gdy przedwieczna zamieć
tu cię przyniosła i rzuciła
na łaskę losu.

Nagle urodzona miłość
nie zestarzała się dotąd, nie zwiędła
i miasto jest mi dzisiaj jak stara legenda,
w której się śniło, lecz nic nie ziściło.
Lwy przed pałacem najeżyły grzywy,
lecz już zabrakło takich, co im wierzą.

Niezręcznie w ustach słowem nieprawdziwym,
głucho stukają rytmy niezdarnym pacierzem...

Niedawną krew starannie z podłóg zmyto,
odszedł w płaszcz okręcony chmurny Inkwizytor
- przed zgonem pomnik sobie wykuł -
biesi się wokół tłuszcza heretyków,
diabli dmuchają w miechy wszystkim kuźniom
i nadaremnie już jest, i za późno
głos wysiłony unosić do krzyku.

Teraz dłonie jesieni wsparłszy na lwich grzywach,
chroniąc się od tumultu własnego i gwaru,
miasto raz jeszcze stary sen przeżywa,
stoi w salwach i w grzmotach, i w dymach pożarów;

a wiatr, gwałciciel nocny i porywacz,
nadal uprawia swój zbójcki narów,
jak gdyby wszystkim pragnął przypominać:
- Tu jeszcze jesień, ale wkrótce zima!

I wszystko dzieje się niby w teatrze,
w którym na chwilę tragedię wstrzymano.
Jeszcze pochodzę, jeszcze wstecz popatrzę -
tak chętnie bym tu na zawsze przystanął
i koło rozpedzone wstrzymał wątłą dłońią...

Ale nie! Gwiazdozbiory po niebie się gonią
- pod migotliwym, obojętnym blaskiem
na próżno błagać o litość i łaskę -
tylko patrzeć na siebie nie bronią.
A wydawało się, że takie proste...

*

Wydawało się: nigdy nie skończy się młodość
i przyszłe lata powoli powiodą
prosto w cel wymierzonym pomostem...
Wiatru porywy coraz chłodniejsze i ostre,
śnieg w górach upadł, jak przewidywałem.

Cóż ma być sięgającym bruku ideałem?
Ten wiatr, huczący przez rebelianckie dzieje
nie wiedziałem, że w mroku na zawsze rozwieje
daremna dumę i znikomą chwałę.

Noc się przesila. W zbyt szerokich brzegach
ledwie się sący chudy Manzanares*.
Nieubłaganie cyka stary zegar,
choć śniedzią czasu od stuleci zarósł.
I miasto nie chce już snuć swoich czarów, -
wie, że nic z tego.

Nie unieśmiertelni nowych gmachów,
co piętrzą się na fundamentach,
przekreślonej historii. Z robotniczych dzielnic
napływa mgła, lecz gniew, co się rozpętał
niegdyś, nie skoczy ku namiętym tętnom!
Już tylko czkawką nudną i natrętną,
tylko czerwonym łachmanem od święta.

Więc cóż... Znów trzeba nieprzychylnym wiatrom
rzucić swój płaszcz wędrowny - romantyczny spadek.
Pozostań za mną, kamienne teatrum,
uśnij pod późnym, zwilgłym listopadem!

Jeszcze przypatrzę się mym dawnym śladom,
nim je wiatr z bruku zetrze.
I cisza daleka.

Więc nadal w romantycznych, pielgrzymich postoi
ach trzeba ruszać na chłody i chmury gromowe...

W ostatniej chwili odwróciłem głowę,
może ktoś...
Próżno! Chodźmy, nikt nie woła.

“... Na skroniach łak zziajanych**
Bystrzycy chłodny bandaż
ratuszowej wieży rozwiany
czerwony sztandar.

Z Piasków, z Kośminka, z Bronowic
pochodem ruszymy razem.
Przeciw czarnemu ludowi
chodź, burżuazjo!

Odwali kamień ksiądz Piotr Ściegienny,
co śnił, obejrzy na jawie.
Tym, którzy w walce niezmienni,
pobłogosławi.

Żwawiej wapno wymieszaj w kuble,
rusztowania wznoś jak najprościej!
Zbudujemy na nowo nasz Lublin -
miasto wolności!”

Tak nam było, tak się nam przyśniło:
- sen o polskim, powszednim chlebie,
gdy ojczyzna znaczyłoby miłość,
a żyć w kraju piękniej niż w niebie.

Szło się później zaułkiem znajomym,
deszcz raz po raz z rannej chmury bryźnie...
I wznosiły się w marzeniu szklane domy
na Wieniawie, na Kalinowszczyźnie.

To o polską rewolucję szła rzecz.
Twarda sprawa chłopsko-robotnicza.

Ale taki nasz zawzięty obyczaj,
że w pochodzie oglądając się wstecz,
nie śpiewało się na obcą nutę,
nie deptało się zbłoconym chamskim
uśpionego w jaśminach cmentarza...

*

*

Ponad łąkami zmierzchy zapadały sine
i woń rozkwitających lip...

Wezbraną wiosną dusił się Sławinek,
koń niewidoczny przy dyszlu zaparskał,
leniwy chłopski głos i wozu skrzyp,
i ciepły kurz, i z karczmy pieśń pijana...

I gwiazdy stały co noc nad Lublinem,
i Lublin w gwiazdach brodził po kolana.
A my brodziliśmy we snach i dudnił
w słowach głuchy grzmot rebelii.

Kto raz w źrenice trwogi spojrzeć się ośmieli,
kto raz poczuje w ustach gorzki piach zwalonej wiary...

Kiedyśmy się wzięli za młode ręce,
aby iść na przełaj,
bezglowa Nike znowu lot podjęła
w groźnym proteście późnych wnuków
i czyny zbyt pośpieszne, zbyt gorączkowe dzieła
sięgnęły bruku.

Czas się opóźniał. Serca biły szybciej.
Już brakowało nam tchu i powietrza.
Więźniowie w miasta kamiennego krypcie
ku nie zrodzonym jeszcze biegliśmy cegielniom
bić szyby okien, rozwalać na przestrzał
i dłonią zgarniać wapno lat
jak szorstką kielnią.

Lew na łapach kamiennych wsparł się,
stary zegar wydzwania północ,
każde drzewo na nogach się siania kołyszącej
się dorożki czółno... :
Z ócz nie zgarniesz tamtego miłowania
odgrodzisz się trumnami lat.

Bo co drugi grób nam się rozżarzał
krwią poległych w służbie Niepodległej
bo wołały prochy krwawych bitew...

Więc z ojczystej gliny młode cegły
chciał wypalać zbuntowany architekt.
Aby przedłużyć renesans i barok
o twarde dłonie czerwonych murarzy.
Aby co bandos bezdomny wymarzył

spełnieniem stało się, a nie ofiarą.

By w rozjarzonej ponad miastem łunie
spłonęła nędza
- jak bez ognia zmóc ją?! -
I teraz, młody, w drżących rękach unieś
tę pieśń, ten hymn
przed polską rewolucją!

Gdy się w knajpie zbiorą marzyciele,
myśl namiętna, za nią mowa krewka
- i po którejś tam szklance, ni mało, ni wiele,
zakołuje rebeliancka przyśpiewka:

Pachnie chlebem rozczyinionym z piekarń,
pachnie sianem w Czechowicza wierszach.
Żaden pies na przechodnia nie zaszczeka,
gęsty dym... z kasztanów czy z kadzielnic?

Z buntem płacze się miłość najpierwsza,
matki łzy, gorzki opar pijatyk...

Wiatr lubelski na ustach śmiertelnych, jak ostatni wiatyk.
I naprasza się znowu
wracający z gwiaździstego połowu,
ogrodowy sławinkowski wiatr.

żeby jeszcze do wiosny dożyć,
pojedziemy kajakiem do Zemborzyc,
będziem wiosłem odgarniać kaczeńce.
Niech w kościele murowanym, malowanym..
znów zahuczą na Creator organy,
kiedy staniesz pod wieńcem.

Jakże mogła do nas trafić zła wojna,
jeśli tamta ulica
Spokojna
nazywała się?
Jakżeś odszedł, nie wrócił i zamilkł,
jeśli siwa matka co dnia łzami
zalewała się?

Nie zaczynaj znowu, nie zaczynaj,
nie pochylaj się nad szklanką wina
skroń bezsenną do poduszki przytul.

Niech na zawsze rozwieje się widmo Lublina
na ulicach
śpiącego Madrytu.

Coraz rośnie bolesny rachunek.
Pojawiają się twarze zatarte, niejasne,
błyskawica przelatuje z deszczu na deszcz,
jak ze struny na strunę...
...oczy przetrę, zbudzę się, znów zasnę...

Miasto wraca w wojenną zagładę,
syczy piasek pod stygnącym piorunem,
wchodzę w lunę, w ulice od ognia za ciasne,
biegnąc, stopą poznaję ślad za śladem,
okręcam się gorących popiołów całunem,
nim potknę się we śnie o śmierć mą własną
i runę.

Przeptywają sny zbiegane, ręce,
odzyskują formy wypukłe.

Mroczne lustro na kawałki roztłukłem,
już się spod ich władzy nie wypłaczę;
podnoszę z ziemi najmniejszy nawet kawałek
odgaduję w każdym dzieje skamieniałe,
wszystkie zamiary zuchwałe,
przetrawione do szczętu ogniem,
tak wiele co zmarnowałem,
tak żalosną garsteczkę osiągnąć.

Huczy, dudni na bruku lubelskim mój śpiew:
"...swoją młodość tragiczną i męską*
za pas zatknąwszy jak nagan, wiemy jedno:
na naszych klęskach
znajdzie zgubę miażdżący nas świat!"

(Takeś z własną ojczyzna się zmagał,
taka była nierozumna odwaga,
żeś nie umiał przekroczyć zwyczajsko
barykady piętrzących się lat).

A tu ojczyźniany dzień, powszedni,
słotny na oślizgłych brukach się ślimaczy.
Wilkiem łypią oczy bezrobotnych,
wzbiera z piwnic rebeliancki zaczyn.
Gdy napłynie szary tłum przed starostwo,
gdy pod gradem kamieni szyby jękną,
trzeba wtedy głowę trzymać prosto
wpatrzonemu w rewolucji piękno.

Błysk przeleci po schylonych lufach
- tak przed laty bywało z obcym wojskiem.
Teraz jeszcze mocniej trza zaufać,
jeszcze twardziej zaciąć drżące usta...
Czy od kuli kozackiej, czy od swojskiej
jednakowo krew do gardła chlusta.

Nasz sztandar płynie ponad trony,
nad miastem płyną robotnicze trumny,
a kolor każdej jest czerwony,
i wśród ulic wyludnionych wybija werbel
pogrzeb dumny.
Stare groby na alarm huczą -
któż ucieszy się
tą zabawą bratobójczą?

Byle ramion nie zabrakło ku czynom,
miód i mleko przez piachy nędzarskie popłyną!
Więcej myśli jasnej, więcej hartu:
Wstanie Zamość, Krasnystaw, Lubartów!

Tańczy miastem fala rozhuśtana:
- Dzielić morgi! Fabryki dla nas!
Wykuj sobie przyszłość, wykuj,
tam już w górze, na patyku
kapie soczkiem marksistowski ananas!

To nie ludzkie nieszczęście. Dziejowa konieczność!
Mielą żarna historii serca na otręby.
Rozczyń mleczkiem teorii udrękę odwieczną,
walką klas polakieruj i wkładaj do gęby.

A gdy zwątpisz na chwilę, uczony dialektyk
wytknie, żeś padł ofiarą społecznych obciążeń,
skalpel wbije do mózgu, zaliczy do sekty
i tabliczkę z wyrokiem na szyję uwiąże.
Uciekajmy na wiatr od wyroków i anatem,
na ten, wiatr, aby winy nam zmazał.

Ukręconym z piachu batem
będzie m gonić głupiego Pegaza.

Idzie droga na stary Markuszów,
przez Puławy zakręca na Kazmierz.
Wrzaski kawek i kruków puszcza mimo uszu,
odpowiada moim stopom wyraźnie:

- ucz się, głupi, ucz,
jak trawa na pastwiskach rośnie,
jak się sójki i dzięcioły przedrzeźniają o wiośnie,
na zagaję i orawy zbaczaj,
boczką z miasta na wieś się wytaczaj,
tam ci będzie młodziej i radośniej!

Potrąciłem o topole i lipy,
w nadwiślańskie zabrnąłem spichrze.

Do połowym jeszcze wiatru nie wypił,
a już noc do mnie śmieje się chytrze:
- widzisz, głupi,
jak cię uchlał ten trunek!

Toż cię weźmie policyjny posterunek!
biegaj cwałem na łąki zziąbane
świętojańskim wykpiwać się sianem,
leć na gwiazdy jako ćmy na lunę!

Poparzyła mi wargi jak wrzątek,
jakbym brnął po szyję w pokrzywie.
Napatoczył się przydrożny świętek,
ciemną głową pokiwał żałośliwie;
nawojujesz się, chłopcze, do syta, a juści!

Puszczą cię w świat z torbami przemądrzy oszuka!
Wróć do domu wydeptanym śladem,
byś przed wichrem i gradem
mocniej w ziemię korzenie zapuścił.

I usiadłem nad Wisłą jak nad Babilonem -
stopy pokrwawione, skrzyпки potłuczone...
Oj, da-dana, da-głupi;
koprowinę* za dukaty żeś kupił,
teraz waruj z podkulonym ogonem!

Księżyc w chmurach toporem się zaciął,
drzewa gwarnym obstępują kołem.
Przeptywają widziadła niegdysiejszych przyjaciół,**
oglądają się, czy na nich zawołam.

Lecą liście z kasztanów, umierać im gorzko,

gwiazdy są nad Niecałą,
gwiazdy nad Radziwiłłowską -
śpiewka skrzypek urasta w żalność,
w balladę z tamtej strony, w wiatr,
co blizny z dnia na dzień zalecą...:
Błyskawica miecza na schylonych szyjach .
i przez gwar żywiołów się przebija
rzewna nuta człowiecza.

Oj, skrzypki, skrzypki z samorodnej
oj, struny srebrnopłonne!
Nie wypłatać się wam z nocnej matni!
Dzień wojenny wstanie nad Lublinem
i dla skrzypka wstanie dzień ostatni.

Jedna śmierć spada siarką i ogniem
druga - dymem krematoriów ziejąc...
Ileż ciosów, upokorzeń i potknięć,
zanim popiół twój w czarną ziemię zasieją!

Zgrzebny pasiak, chodaki drewniane,
w struty chmurach stoi Majdanek -
śmiertelne pole.
Pieśń na ustach jak cykuta piecze,
kiedy padasz - nie grotem, nie mieczem —
ugodzony wprost w serce fenolem.

*

**

I tak widmo za widmem spotykam
głos każdego żmudnie przypominam.
Grzebię dłonią w spróchniałych ruinach,
w snach się szarpię -
dzikie zwierzę we wnykach.

Wichrem wieje podziemna muzyka,
rozniesione gorzkim dymem ognisko.

Jak i ja szukałeś słowa, które zbawia,
teraz, w noc odchodząc, mnie pozdrawiasz,
szubienicę pozdrawiasz oświęcimską.

Biją tętna w skroniach - młoty w kuźni -
idą tłumem, w las mroczny, wykrot po wykrocie:
Ni jednego słowa nie rozróżnisz

z ust zaszpunktowanych kneblem trocin.

Zimna lufa na karku, w mózgu wybuch,
lecą w głąb bezdenne szyby,
nie wstrzymają ich dłonie skrępowane
ani stopy w dyby pojmane,
dziś ich widzę, jak widziałem przed laty.

To najwyższym nad ziemią kurhanem
płynie w niebo poderwany Katyń.
Przyjaciołom pomordowanym,
przyjaciołom zakutym w kajdany
jakież słowa ma żyjący przekazać?

Ciągle błędzę ulicami Lublina,
na grobowcach kolana zginam -
krtań z ołowiu mam, a usta z żelaza.

Jesień pełna zaklęć i wzdychań,
biją dymy z porudziałych ściernisk
i te słowa ze srebra i czerni,
dłoń bezbronna, która mroki odpycha,
Przez was, śmierci męczeńskiej wierni,
padną w gruzach mury Jerycha.

Wchodzę w mrok zapleśniały starych ulic,
archeolog przeddziejowych czasów.

Noc rozkłada ramiona jakby chciała utulić
zwiędłe światła martwego szabasu.

Dłoń wyciągam, długo szukam:
- gdzie kirkut?

Oczy ślepią kłęby chmur kosmatych...
Wzgórze kurczy się
jak chasyd na nędzarskim wyrku
pod wzniesioną prawicą zatrąty.

Tu, gdzie wszystkie kamienie przed wiekiem wydeptał
cień zbrodniarza w każdej bramie się czai
i jęk płacze się w przedświtu szeptach:
- Och, Sabaoth, Sabaoth Elohim!*

Szumi wiatr, w ostrzejszą wrasta nutę,
na gałęziach samobójczo się wiesza.
Niebo w burzy nad rozbitym kirkutem -
rozsłochana, zrotpaczona rzesza.

Rozdarto świętą ziemię aż do samych trzewi,
aż do głębi.
Potrzaskano kamienne serca lwów i gołębi.
Na nic bunt i lament się przydał,
łaski u Jehowy nie wykołatał.

Nie ostała się, nie ostała się proca Dawida
wobec złości silnego Goliata.

Nie wstał mściwy Rabbi z siedmioma synami,
buchnął krzyk mordowanych i zamilkł.

Teraz wracam, proch grobowców stopami gniotę,
staję, oglądam się
za cmentarzem, za Jeszybothem**,
biegnę Rynkiem, Podzamczem, Lubartowską,
krew do ust i oczu się klei

Nie ma ich, wyszli z swoją śmiercią i troskom
w krematoriów dym,
ku Judei.

*

**

Którzyście mi nie skąpili przyjaźni,
których wraz ze mną widok świata drażnił,
szlachetni buntem i gniewem rozumni;

którzyście z getta, znad stronic Talmudu
rwali się w górę i czekali cudu
na krwawej ziemi, tej krążącej trumnie;

których jedynie z daleka pozdrowić
mogłem, gdy zguba ku Izraelowi
szła w huku butów i w kolczastych drutach,

cóż wam w ostatniej godzinie zostało,
jeżeli nie dumnej rozpaczy zuchwałość,
krzykiem z wnętrzości na wieki wypruta?!

W nikczemnym wieku, co puszcza na przetarg
i krew, i wolność, bezsilny poeta
kogo powstrzyma wizją takich zgonów?

Jakim przerazić słowem czy melodią?
Tylko w popiele nam siadać i podjąć
"El mole rachmim"*
nad grobem milionów.

W sen zapadają się widma. Nim słońce
wstanie na niebie pogodnym Madrytu,
zbudzę się, okno otworzę szeroko -
nic - tylko z dala czymś szybkim krokom
echo wtóruje...
I wciąż nie ma świtu.

Fałszerz i kłamca powie, że kto uszedł
z ziemi ojczystej, usycha jak drzewo
wyrwane z gruntu... Jak liść w zawierusze
pędzony, nigdy gałęzi nie chwyci,
zawsze poddany niechętnym powiewom,
zwiędnie, pług obcy zgniliznę przeorze...

Gdyby znaleźli się tacy wróżbici,
którzy by wówczas, przed laty dwudziestu
przepowiedzieli, że czas ostrym nożem
rozetnie życie i rzuci daleko
nie przystające do siebie połowy;
że z tamtych brzezin, z rdzewiejących rdestów,
z tak muskularnych nad stalową rzeką
zostanie garstka spopielonej mowy...
I zabronione mi będzie na jawie
słuchać lubelskich cmentarnych słowików,
wyciągać czule ramiona na trawie,
wraz z którą rośłem...

Ale jeszcze zdławię ten krzyk
i wyjdę za granicę krzyku.
Znam dobrze drogę, znam drogę powrotną,
nie zastawioną doczesnym szlabanem.

Gdy wasze stopy niezdarne się potkną
i z gąb wypadną zęby połamane,
powrócę cieniem z mej dumnej diaspory
przez zarośnięte przeskakiwać tory,
w gwizd lokomotyw na znajomych stacjach...

W śpiewie słowików, w jaśminów paradzie
kąt na lubelskim cmentarzu się znajdzie,
a dla was
wieczna
przyjdzie emigracja!

Może tylko to jedno się policzy -
ten powrotny w snach conocnych zachwyt,
woń zroszona lubelskich koniczyn,
rozjarzone policzki łubinów...

Wiatr gorący do ramion znów się przypiął...
...to już tu, cicho schody zaskrzypią,
niewidzialne usta szepną:
- synu!

Widzę chłopca i kozę pstrokatą,
biegnie z pyszczkiem wyciągniętym ku marchwi.
W ulach brzęczy miodosytne lato,
siwy obłok srebrnym smyczkiem zaraz zatnie,
srebrne trzmielce rzucą się na sad,
w rozkrzyczaną, upalną matnię...

Miodne ule jeszcze mocniej zabrzęczą,
wyjdziemy z snów ku Twoim tęczom,
nimeś burzą na jawie na nas spadł.
Lecą gwiazdy - rozszarpane pawie -
świat kotłuje się, zatracą się w kurzawie
nieodwracalnych już lat.

Ach, od jakich modlitw, od jakich kantyczek
śpiwnych słów w tę godzinę pożyczę,
żeby doszły, żeby dotarły?

Odpuść grzech mój i wygładź winę,
daj, bym w oczach, na świat obcy umarłych,
tamte domy i drzewa... tamte chmury sine...
...niech uchwycę je, w stulone przyjmę ręce
i, padając, jak sztandarem się okręcę
ostatecznym widzeniem: Lublinem.

Lecą lata, płonące pociski,
rozhuśtały się cmentarne drzewa.
Znowu siadaj nad grobami przyjaciół i bliskich
proch zetlały w palcach przesiewać.

Bacz, coś działał, co o sobie powiesz
ku zmierzchowi chylącym się dziejom,
gdy już jutro spóźnieni jak zawsze
proch twój
w palcach niechętnie przesieją.

Na chodnikach stóp dziecinnych tupot,
wróbli wrzask, by weselej śmiać się dzieciom.

Ku Wieniawy drewnianym chałupom
brzask jaskrawy
spadał mroczną zamiecią.

Weź go w dłonie, czulej struny nie zerwij,
zawiąż mocniej, na usta namotaj!
Tętni koń butany, skoczył w słońca czerwień,
już jest cały z purpury i złota.

Zaczesalem palce w krwawą grzywę,
przez tę krew i purpurę nie przebrnę.
...Łzawe oczy najładniejsze jeśli siwe,
najpiękniejsze włosy,
jeśli srebrne...

*

Srebrny deszcz w siwe oczy zacina,
srebrne trzmiele rzuciły się na sad,
trzęsie się srebrny deszcz na orzeszynach.
Znów się mroczna rozdziera kurtyna,
oszronionych gwiazd
siekący grad

Jakbym w nocy tej,
rozwleczonej na wyrocznych sądach
wysrebrzone dachy Lublina
znów oglądał
zza więziennych krat.

Otwórz tamto okno, bliżej drzewom podaj,
niech podejdą ku szybom i rynnom.
Była pełnia pełgająca na wodach,
wczesnych świtów niepowrotna uroda,
rześka dziwność dnia i nocy inność.

W nadbystrzyckich gajach naświstuje słowik,
ciepły opar z podoranych borowin,
mgła na łąkach kożuchem się rozwełnia.

Jest czerwcową, świętojańska pełnia,
byś w niej usta obmył i uzdrowił.

W mrok semafor jak zielony motyl
zatrzepotał mi skrzydłem przyjaznym
to już blisko, to Motycz...

Tyleż razy stad drogę znalazłem!
Już sapaniem zdyszanych lokomotyw,
już kasztanów wonią chmielną i gorzką,
już zadudnił most drewniany pod dorożką,
można jechać nie patrząc, na ślepo...

Przecwalały konie,
spod kopyt ostatnia iskra
tu się zatrzymasz, tu koniec,
tu twoja przystań...

Garść gorącego popiołu nad ziemi ojczystej polepą.
Połóż głowę znużoną, połóż
pod gwiazd
chłodniejszych trzepot.

"Ręko wytrwała i groźna*,
mieszająca glinę gwiazd w sinym kuble,
trójkacie nieustępliwy w niebieskiej wysokości!
W gorzkiej pomroce mgły,
nad bladymi łąkami
żarzy się senny Lublin -
miasto krzyczącej młodości"...

Niech odrodzi się ten rebeliancki krzyk
świecić w ślepiu uzurpatorom!
Aby mówić nie odważył się nikt,
że się miasto poddało przemocy.

Groźne widma wczorajszych bojowników
niech się znowu pod ręce biorą,
niech wychodzą w tym namiętym krzyku .
naprzeciw nocy ,-

Niech na próchnie księdza Ściegiennego
buchnie płomień i świeci na wartach.
Niech się zbiegną ku nowym szeregom
zapadnięte groby powstańców!

Dreszcz przeleci wśród zbudzonych kamienic,
i chorągiew kulami podarta
szare niebo krwią żaru mień i
i powieje na starym szańcu.

Niech się każdy kamień rozkrzyczy
pożarem polskiego buntu!
Niechaj hardy honor robotniczy
nieśmiertelnej zaświadczy ojczyźnie!

Wiosno lubelska, wybuchaj,
zdławione krtanie odszpuntuj!
Moskiewska, burżujska jucha
niech dzień odwetu użyżni!

Widmo wolności błądzi w ulicach i straszy.
Któryś zaufał przemocy, widmom nie ufaj!
Księżyc sztyletem spiskowca w gęstwę się zaszył;
każda uliczka spoziera w mroku jak lufa.

Któryś się podszył pod imię Proletariusza,
wstrzymaj się. trwożny, w pamięci uważnie zatnij;
Wicher się budzi, ziemię do trzewi porusza;
na bój wychodzą żywioły, a bój to będzie ostatni!

Drzew różaniec przy białej katedrze,
naradzają się, o coś proszą, zamawiają...
Niechże szerzej ta noc się rozedrze,
niech podniosą się powieki ślepej śnicy!

Powracają moje słowa, potykają się,
ciężką noszą utrudzeni przemysłnicy.

A mnie nie ma, ponoć nigdy nie było.
Tom nie ja w lubelski bruk łomotał,
to nie mnie wzywa stara tęsknota
i miłość...

Widma dawnych lat - towarzysze nieuchwytni!

*

Każdy z nas nielegalny przemysłnik
i banita,
Ocierajcie ślepią z nocnej drzemy,
wyglądajcie, czy jeszcze nie świta.

Doniesiemy nasz przemysł, doniesiemy!
Przez mrok nocy chybotliwym czołnem...
...luli, luli... kołysanka tułacza.,
Nazwy ulic jak perły od starości pożółkłe
między dłońmi czułymi przetaczaj.

Pergaminu postrzępiony zwitek
przed oczami z szelestem się rozkręca.
Któż tam stoi pod białym portalem Wizytek,

kto wygląda zza kulis pustego teatru.

Płynie z żaglem snu drobna postać dziewczęca,
już wśród drzew,
już we mgle się rozwiewa...

Nie pozwólcie
bym tym snem aż do zgonu się zatruł,
uratujcie mnie,
lubelskie drzewa!
Ku odwiecznym lipom i kasztanom
na Lipowej, na Ogrodowej...

Jeśli kiedy niedołącznym trafię słowem
w waszą gęstwę wiatrem rozhuśtana,
tamte czułe noce jeszcze raz przypomnijcie,
tamtym szumem skronie obejmijcie,
bym na zawsze
w waszym cieniu przystanął.

Po rozstajach snu, na pół ślepy, po omacku,
fiołkowym, cmentarnym zmierzchem...
Czarnym skrzydłem zrywających się gacków
bije we mnie letnia noc, nim pierzchnie;
deszcz o świcie polną drogę zakurzył,
strząsa płatki z krzaku dzikiej róży,
mąci rzeki przebudzoną powierzchnię.

Przez malignę, przez podstępne potrzaski
ile jeszcze razy dźwignę stopy?

Więc to ja znów przekradam się Ogrodem
mur przeskoczyć, .
gdy już brama zamknięta...?
Głucho zieją ulic okopy,
drwiąco patrzą żółte latarni oczy,
znów się w topiel starych snów zapadam,
słaniający się po wszystkich zakrętach,
po tych samych
niezgładzonych śladach.

Dzień nadejdzie - sny natrętne odrzucę,
na lubelski cmentarz powrócę,
wrosnę w groby, w krzewy malin, w jaśmin.

Niech wyręczą wtedy usta
uśmiechnięte i nieme
skowrończychy nad czarnoziemem:
- Jużes tu,

więc uspokój się,
zaśnij! .
Zaśnij... luli, luli... mój jedyny, synku,
ulżyj sobie,
popłacz jeszcze krzynekę!

Stoi krzyż próchniejący na Sławinku,
krwawa gwiazda krąży nad Sławinkiem.

Wygrzebuje się z lotnych piachów piosenka:

- A jak na wojaczkę go żegnała,
aż się brzoza liśćmi posypała.
- A jak listu daremnie czekała,
aż na rzece woda poczerniała.
- A jak pieczęć na tym liście łamała,
aż się pod nią ziemia ugiwała.

Ugina się ziemia, ugina coraz mocniej;
podkłada się przyjaźnie tej wędrowce
nawołuje, bym przyszedł...
Zawsze chętna ku takiej usługę,
w stronie swojskiej, nie cudzej
w nieprzespany sen ukołysze.
W lotny piach obróci się piosenka.

Błądzi cień po Europie, - odwieczny emigrant, -
rozgrzebuje popioły, w wątle iskry dmucha.
Na minionych, słotnych zawieruchach
tren żałobny za życia wygrał;
gubi się w gwarzym tłoku - a jest mu bezludnie;
słyszysz: chmura za niebem dudni,
zapowiada się wśród gromów i błysków.

Oto los wyłączonego z dziejów,
opuszczonego na pobojuisku.
Ocknięty na dnie armatniego leju
zbiera się w sobie, szuka broni i ładunków.
Trafiał na stopy trupa w gnijących onucach,
ropą dłonie ubabrał, a w zdławionych płucach
duszą wyziewy zatrutego trunku.

I krzyk, co razem z czarną krwią wyrzuca,
że go skreślono z rachunku.

Iskry z krzemienia lecą, lecz proch zamókł,
na pieśń karczemną hardą przerobiono nutę.
Pośród sprzedajnych klerków,
wśród handlarskich kramów
próżno potrząsać żołnierskim kikutem;

zanim burza przewieje po idących wiekach
i groby pobielane zetrze palec Boży,
trwaj w zacieklej rebelii i ochryple szczekaj
jak pies
co na sztandarach się położył.

A oczom, którym dawno łez nie stało,
wciąż zwróconym ku goryczom i troskom,
znowu gwiazdy nad ulicą Niecałą,
nad Spokojną i Radziwiłowską,
i zegar z Bramy bije nad Madrytem,
i świtem widmo do okien zagląda
i żąda spłaty długu.
I znów ostre żądła
snów niespełnionych kłują – jadowite.

W ciągłej wędrówce wśród ruin i zwalisk
kto się doszuka, dosłucha i dalej
kroki na dzienne czuwanie wywiedzie?

Przed szumem nocy, przed mroczną zgryzotą
skronie skrzydłami mi przykryj i otocz,
ptaku wyroczny, mój wierny sąsiedzie!

Głucho wpatrzony w okna niewidome,
ślepnę jak one, a gniewny barometr
łudzi mnie, zmyśla i kłamie.

I żółć gryząca, i ocet na wargach, aż się nachyli
jutrznia-pielęgniarka, trzęsąc chorego za ramię.
- Wstawaj, - powiada, - nazbyt długo czekasz!
Nic tu nie wskóra najsprawniejszy lekarz,
przyczyn cierpienia nie wskaże.

Nie wydobrejesz na takiej opiece.
Wyrzuć dryjakwie, nie zamawiaj recept,
krwawe poździeraj bandaże.

Znowu z wiatrami bądź w spółce i zmowie!
Patrz: przerażeni uciekli widzowie,
trzasnąwszy drzwiami od szatni...-
Weź ziemię w dłonie, przykładaj na rany,
idź,
z nocnych snów do reszty wypłątany,
gdzie bój cię czeka ostatni.